





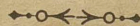
NOWELE.

„Gazeta Polska”.

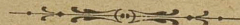
Tom 18 (XXXI).

WYBÓR PISM

Maryi Konopnickiej.



NOWELE.



WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej”

Druk J Sikorskiego, Warecka 14.

1899.

518039



Дозволено Цензурою Варшава 26 Марта 1899 г.

KRYSTA.

Porwała się z wysoko usłanych poduszek i na łóżku siadła.

— Jezu... Jezu... — zaszeptała niskim, dyszącym gorączką głosem. — Co się to porobiło?.. Co się to stało?..

Zgarnęła rozrzuconą koszulę na piersi i wodziła po izbie niespokojnemi, szeroko otwartemi oczyma.

W izbie nie było nikogo. Mały ogień dogasał na kominie, pełzając modro po niedopalonych główniach. Żółty kudłaty pies węszył ostrożnie po niezmytych garnkach, trącając nosem zostawione w nich warząchwie i łyżki; w sionce, za drzwiami, słychać było furkot i trzepoty kur, gnieźdzących się po wyszkach i grzędach.

Dzień gasnął. W sinej jasności, która się sączyła przez mętne szyby małego okienka, szczupła

i śniada twarz siedzącej wprost niego Krysty zachodziła osobiwem błękitnawem światłem, przy którym dziwnie odbijały drobne, ciemne aż niemal, tak żywym ogniem pulsujące usta, i rozjarzone gorączką, błyszczące wskroś długich rzęs, oczy.

Szeroka cisza późnej pory dnia i roku zapadła nad wsią. Odgłosy życia skupiły się po zamkniętych obejściach, po chatach, dolatując tutaj niewyraźnym i stłumionym szmerem.

Po kątach izby gęstniały już zmroki, snując się około komina i u niskiego pułapu, gdzie na zatkniętej w belkę żerdzi wisiała różna odzież.

Wśród ciszy rozległ się teraz łoskot rąbiącej drwa siekiery. Łoskot był równy, miarowy, silny; dolatywał zbliska.

Słuchała go przez chwilę Krysta, patrząc nieruchomo w siniejące wśród zmierzchów izby okienko, poczem podniosła obie wychudzone ręce, ścisnęła nie mi skronie i, przymknawszy pociemniałe powieki, zakolysała się w niemej jakiejś rozpacz.

Z pod białej, cienkiej, luźno związanej chuściny, rozsypały się jej przez palce drobne pasma ciemnych włosów, wyraz niezmiernej goryczy okolił spalone usta, pierś pod lnianą koszulą podnosiła się wysoko, szybko.

Nagle zwróciła Krysta głowę w bok i wstrzymała oddech.

W kątku u ściany, w nogach łóżka, leżała przewiązana chustką poduszczyzna, z której się dobywało ciche, kwilące chrząkanie. Krysta wpatrzyła się w ten kąt tępy, osłupiałym wzrokiem.

Ręce jej opadły, otwarły się usta.

— Żeby tak Antek!.. — odezwała się wpółgłosnym szeptem. — Żeby tak teraz Antek... Jezu miłosierny!..

Rozszerzyły się jej źrenice, zęby szczekać zaczęły, cała twarz zachodziła wielkim, nieprzytomnym strachem. Kwilenie tymczasem cichło, poczem zupełnie ustało.

Wyciągnęła wtedy Krysta ręce przed siebie, załamała je gwałtownym ruchem, nad głowę rzuciła, i z głuchym jękiem na poduszki padła.

Nastała cisza.

Zmierzch już był zupełny, kiedy pod okienkiem zaczęły się drobne, spieszące się kroki. Ktoś szedł, potykając się, mrucząc i szukając drogi.

Pierwszy pies poczuł, że to idzie gospodyni i, podebrawszy ogon pod siebie, cichaczem do drzwi zmierzał.

Jakoż wchodząca do izby stara Karbowiaczka natknęła się na niego w samym progu.

— Wszelki duch!.. A pójdziesz! A do budy leżeć!.. A któż to też psa między garnki puścił?... O mały figiel, że mnie z nóg, choroba, nie zwalił! — Śpisz, córusz? — Nie czekając odpowiedzi, pod okno

szła, kierując się mdlawą sinością szybek, i składała na ławce przyniesione z miasteczka zapasy.

Wtem kot zbudzony zeskoczył z zapiecka i otarł się o nią, mianując zcicha.

— A psik! — krzyknęła stara. — Ciebie tu jeszcze nie było! Ty mi tu jeszcze pod nogi leż!..

Zwróciła się teraz do komina, trącając po drodze szafliki i zydle.

— W kominie czarno, w izbie czarno, łaska Boska będzie, jeśli ja tu w tej émie nie rozbiję czego! Śpisz, Krysta?

Przykucała przed kominem i silnie dmuchać zaczęła, zakasłując się i mruczając naprzemian.

Błysnął ogień pod popiołem tlejący, rzucona na niego garść chrustu zajęła się z trzaskiem, a żywy płomień oświecił zaschłą, pomarszczoną, energiczną twarz starej Karbowiaczki i rzęsiste na jej szyi krezy i paciorki.

Na blask ten nagły otworzyła Krysta zamknięte dotąd oczy.

— Pić! — przemówiła cichym, słabym głosem.

Matka już była przy niej, już jej podawała blaszany półkwaterek z wodą.

— Pij z Panem Jezusem, córuchno, pij! Będziesz cheiała, to ci i herbaty zgotuję...

Przechyliła się nad łóżkiem, do związanej poduszczyny sięgając.

— Cóż, chłopak, śpi? Nie krzyczał? Chwalaż Panu Bogu, niechaj śpi na zdrowie! Kajż Paweł? Drwa rąbie? Do miasteczka będzie musiał jeszcze po makę przed nocą...

Mówiła sama do siebie, krzątając się po izbie, pytając i odpowiadając razem.

Zapaliła lampkę, na okapie komina stojącą, przyłożyła dREW na ogień, miski i garnki w cebrzyk do mycia wstawiła, odwróciła do góry dnem suszącą się pod zaczyn chleba dzieżę, poczem do ławy poszła.

— Albo je wszystko, albo i nie wszystko! — zagadała, oglądając swoje zakupno. — Harbata i harak je, wątroba i letkie je, kiszka je, mydło je, cukier je...

Odwróciła głowę do chorej.

— Wódki żem tylko garniec wzięła, ale tej lepszej. Gałki i cynamonu do zaprawy też. Sadła wzięłam solonego; będzie czujne w grochu. Golonkę też do barszczu kupiłam u Wąchacza godną! Dwa złote bez dziewięci groszy dałam za nią. Jak mają być chrzciny, to niechże ta już będą!

Krysta stękała zcicha.

Podeszła do niej matka i u łóżka stanęła, głaszcząc chorą po rozpalonej twarzy ciemną i kościstą ręką.

— Cóż tak stękasz, córuchno, co? Cóż cię tak donagla?... Cóż cię tak, na to mówią, najbarzej boli?...

Krysta westchnęła ciężko.

— Oj, boli mnie, matko, boli! Oj, boli mnie, matko, serce o Antka, tak... że...

Nie dokończyła i zaniosła się płaczem.

Zafrasowała się stara, na łóżku siadła i, podparwszy brodę, kiwała przez chwilę głowę.

— Co tobie córko, Antek znów na myśli? Co tobie znów z Antkiem?... A on już pewno, chudziak, ziemię gryzie! Dwa lata, córko, to ma swój czas! A toby się choć słówkiem odezwał, żeby żywy był. Toć Kacpra Małgoški Kowalczanki razem pognali, a co ten już wypisał!... Daleko, daleko! Juźci prawda je, że daleko! Ale i z dalekości pismo przyjdzie, choć-by też z największej; urzędy od tego są, różne sposoby! Przez morze przepławią, a doszłą. Nie mógłby sam, a toby choć przez ludzi orędownał. Toć we wsi o wszystkich, co poszli, wiadomo, jak i co, a o nim, chudziaku, ani slychu... Kamień w wodę!...

Westchnęła, a po chwili mówiła dalej:

— Antek... Antek!... A cóż ci ta już Antek poradzi teraz, niebogo, choćby i żył, na to mówiąc?... A toby i gorzej wypaść mogło!... Ale nie żyje, nie! Jak amen w pacierzu, nie żyje! Jeszcze mi się onegdaj, chudziak, śnił, że sól owcom dawał. Sól siwą taką, że to jak ten popiół w kominie. To nacóż-by to, jak nie na śmierć? Wiadoma rzecz, że sól na śmierć pokazuje... Ty sobie Antka, córko, jak możesz, tak

wybijaj z głowy. Już on się, chudziak, nie wróci do ciebie, nie!..

Podniosła fartuch i ocierała zwolna stare oczy; Krysta płakała gorzko. Ogromna fala bólu zalewała jej piersi, podnosząc się, opadając i podnosząc znowu. Szczupłe jej ramiona drżały, zacisnęły się palce rąk załamanych i na pościeli leżących, z pod przymkniętych powiek lzy padały bujne, gorące.

Chwilę trwała cisza. Osunęły się głównie w kominie i poczęły ugasać, trzeszcząc. Nierówne migające blaski chodziły po sprzętach, po ścianach, włączając za sobą dziwaczne i ruchome cienie.

Nagle wyciągnęła Krysta załamane ręce i spojrziała na matkę z jakimś rozpaczliwym wyrzutem.

— Ach matko, matko, matko!.. Po co my, po co, parobka do chałupy brały!

Stara opuściła fartuch, przechyliła głowę, i z otwartymi od dziwu ustami patrzyła na chorą.

— Co ty, córko?... Błąd w głowie masz, czy co?... A przeżegnaj-że się ty lewą ręką!.. A któż-by, na to mówiąc, koniowi i bydłu radę dał? Ktoby z tego korczyka podatek wytrząsł?... Ktoby na szarwark stanął? Czyjaby wszystkiemu głowa była, czyje zarządzenie, kiedy gospodarza nie stało? Co ty, córko!...

Mówiła coraz krzykliwiej, coraz bardziej przechylała głowę, coraz szerzej otwierała małe, siwe oczy, coraz wyżej podnosiła brwi na niskim, po-

marszczonem czołem, prawie że się zachodząc od wielkiego dziwu.

— Co ty?... Co ty, córko?..

Ale Krysta zdawała się nie widzieć i nie słyszeć tego.

— Ach matko, matko! — powtarzała przejmującym głosem. — Po co on tu w chałupie siedział? Po co za mną dniem, nocą naglądał?.. Po co mi na każdy czas w oczy łaził?.. Ach matko, matko, matko!..

Głos jej się złamał, ręce zmęczone opadły, leżała na wznak, świecąc w mroku izby śniadą bladością drobnej, szczupłej twarzy. Po chwili odezwała się cichym, gorącym szeptem:

— Czy ja na tańce latała? Czy ja za węglami wystawała? Czy ja do ludzi lgnęła?.. Toć ja wiarę chciałam strzymać!.. Chciałam czekać... Jakem przysięgała, takem chciała żyć! I nie mogłam... nie mogłam... nie mogłam!..

Stara wzdychała zcicha.

— Jużci to prawda! Jużci to wszystko prawda! Ale co poradzić teraz?.. Co poradzić?.. Już ci tera nie poradzi nikt, niebogo!

Znów nastała cisza.

Po chwili odezwała się Krysta, jak gdyby sama do siebie:

— Tak mi zawierzył! Tak mi, jak tej własnej duszy, zawierzył!.. Pamiętaj, Krysta! — mówił. — Pamiętaj, Krysta!.. Już go strażnik za plecy pchał,

już insi na moście byli, a on jeszcze głowy odwracał, jeszcze wołał: Pamiętaj, Krysta! A ot, jak ja pamiętała! Ot, jaka ja wierna była!

Umilkła wyczerpana i dyszała ciężko.

Łoskot siekiery ustał za ścianą: jakieś silne ręce ciskały teraz z rozmachem pod szepę niedorąbane szczapy. Pojaśniały mętne szybki i uczyniły się modre. Księżyc wschodził.

Ale stara Karbowiaczka przygarbiła się, brodę kulakiem podparła i patrzyła w komin. Siwe źrenice jej małych oczu nieruchome były i szkliste. Może sięgała myślą dalekich czasów, może gorzkich wspomnień.

— Nie za nas się to zaczęło, — rzekła wreszcie, kiwając głową, — nie za nas się i skończy. Jeszcze takiej żołnierki we wsi nie było, coby utrwala. Jużci że źle, że grzech! A co robić? Ochfiarować Panu Jezusowi i już!

Strzegła ja cię, córko, pókiś dziewczką była; a potem ty już sama sobie gospodynią byłaś... Żle wypadło... bieda... A co robić?..

Jeszczeć tobie, córko, nie krzywda! Wyleżysz się ciepło pod pierzyną, nikt cię do roboty o trzeci dzień nie woła, nie pędzi, matka ci poda, posłuży... Jeszczeć to, jeszczeć... A te insze, to i na komornem muszą, w cudzej izbie, w cudzem posiedzeniu muszą... A co mają robić... Przyjdzie taka do swoich, to jej za każdą łyżką w gębę patrzą. Więcej ona we łzach

owe dzieciśzeczko ukąpie, niż w tej wodzie.. A co będzie robić?. Druga się i upomnieć nie ma gdzie i u kogo. Zdradzi ją taki, jeszcze się jej naśmiejie. Ta go przeklina, zbereźnika, a ów przez zęby gwiżdże,—bo ja wiem!—powiada... A z tobą, córko. dziękować Bogu, wcale co inszego! Jużci ja matka, tobie nie przychwałę, nie! Jużci by na mnie grzech był, żebym ci tu powiadała tak, albo tak! Ale Paweł zarówno do roboty mocny chłop, głowę dobrą na wszystko ma, pracy się nie boi, jak we swoim robi, nie pije, grosza nie utraci, za inszemi nie pogląda, mnie matkę szanuje, o zapłatę nie woła... A to nic, ino jakby co, Panu Jezusowi ochfiarować, i na zapowiedzi dać! A toć ino patrzeć, jak do kancelaryi papier przyjdzie...

— Oj nie, matko, oj nie!—przerwała Krys'a cichym, zmęczonym głosem.— Oj nie będzie tego nijak, z wolą czy przez woli... Nie chcę ja Pawła, matko, nie, choćby on mi też miód robił, nie chcę!... Wiedział, poganin, że ja za Antkiem oplakuję, a nie przepuścił!.. Oj, ogłupił mnie on, docna ogłupił!.. Oj, podszedł on mnie, jak tę rybę na tej płytkiej wodziel.. Jak tego ptaka na gnieździe!... A żeby on, poganin...

Stara poruszyła się szybko.

— A cóż go tam będziesz kłać, córko! Nie daj Boże w złą godzinę! Jużci cię nie musiał, jużci, żeś na niego i ty mile poglądała...

— Oj poglądanie, poglądanie!.. Oj żeby się ono przepadło! Lepiej mi było poglądać na tę osikę, co z niej deski na trumnę rzna, niżeli na niego! Oj roztrząsnęła ja sobie to teraz, jak ten paździerz lniał!.. Już on mi ze wszystkim obrzydł, poganin! Żeby nie on...

Stara się poruszyła niespokojnie.

— Co ta spominać, córko! Co ta spominać! Zjednalcie się, i już! Teraz tego tylko patrzeć, żeby dobrze było!

Westchnęła Krysta, trzęsąc głową.

— Oj nie będzie tu dobrze, matko, nie będzie, ino źle będzie! Źle się naczęło i źle skończy!

Stara Karbowiaczka, przy swojej energicznej naturze, dość miała biadania tego.

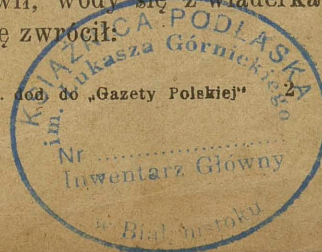
— Laboga! — zawołała, zrywając się z pościeli. — Ja tu gadam, a tu na kominie do cna ugasło.

Dmuchała jeszcze, przystawiwszy do ognia garnki, kiedy się drzwi na rozcież otwarły, a do izby wszedł rosły parobek; schylając się w uszaku.

Głowę miał dużą, kędzierzawą, czarną, twarz pochmurowatą, pochyłe ramiona i krótki spencer na grzbiecie.

Wszedł szeroko, głośno, jakby tu gospodarzem był, siekierę u drzwi postawił, wody się z wiaderka napił i do Karbowiaczki się zwrócił.

Nowele Konopnickiej. Tygod. bezp. dod. do „Gazety Polskiej“



— Gospodyni! Jechać to na ten wiatrak po mąkę, czy nie jechać?..

— Jedź, Pawełek, jedź! — odrzekła skwapliwie stara. — A to ci tymczasem klusek kartoflanych do mleka zwarzę!

— Co mi ta kluski!..

Na środku izby stał, czapkę z czupryny zesu-
nął i w głowę się drapał, poglądając z podełba ku
łóżku.

— Krysta śpi? — zapytał wreszcie. — Nie spała,
ale od chwili, jak wszedł, odwróciła głowę do ściany
i przymknęła oczy.

Matka pośpieszyła odpowiedzieć za nią:

— Nie śpi, nie! Coby miała spać? Bo to nocy
nie będzie do spania?

— Krysta?.. — przemówił parobek grubym gło-
sem, zbliżając się do łóżka.

Krysta nie otwierała oczu.

Parobek rozśmiał się z przymusem, przykro.

— Oho! — rzekł. — Odezwie się wam ona! Pre-
dziej się ta ściana odezwie, niż ona, jak się zatnie!

— Coby się tam miała zacinać! — łagodziła sta-
ra. — A może się i zdrzemnęła, chudziatko?..

Podeszła do łóżka i pierzyny targnęła.

— Krysta! Paweł na wiatrak jedzie!

— A niech jedzie! — przemówiła chora, nie od-
wracając głowy.

— A toć się przecie spojrzysz na niego, kiedy już
tak Pan Jezus dał... Przecie nie wilk!

Krysta milczała.

— Dajcie spokój, gospodyni! — odezwał się paro-
bek ponuro. — Komu ja nie wilk, a jej i wilk może!
Już ona nie od dziś patrzeć na mnie nie chce! Dajcie
spokój! Niech ta!..

Poszedł w ką i worka szukać zaczął.

Karbowiaczka zaturbowana od łóżka nie odcho-
dziła. Ten chłop, do roboty mocny, który na wszyst-
ko dobrą głowę miał, a o zapłatę nie wołał, zasługi-
wał, bądź jak bądź, na jej względy. Chciała mu
życzliwe serce pokazać, zjednać go, załagodzić. A toć
tylko patrzeć, jak on tu ze wszystkim gospodarzem
będzie... Toć już i teraz zięć jakby...

Sięgnęła do poduszeczyny i rozwiązała ją w no-
gach łóżka, na którym leżała Krysta.

— A pójdzi ino Paweł! — zawołała, — a obacz
syna! Jak rzepa dzieciak! Ktoby powiedział: już ty-
dzień ma, a temu trzy dni ledwie! O, jak mi to palec
ściśnął! Jaki to rak mocny! Przypatrzcie się, moi
ludzie, jak to trzyma, jak się to rozpatruje! A bodaj
że cię Pan Jezus chował!

Śmiała się, pochylona ku dziecku, owijając je
w powijaki i w pieluszki, a na Pawła wołając.

Parobek nie szedł. Zły był i żółt w nim wzbie-
rała. Na Krystę zły był, na siebie, na starą.

— Coś się tutaj odmieniło w chałupie... Coś się tutaj popsulo! Jużci nie co, tylko się jakiś dyabeł wszyl! Krysta patrzeć nie chce, gadać nie chce... Jużci nigdy nie była do gadania; ale przecie nie taka! Zadali jej co w tej chorobie, czy jak? A może za tamtym znowu?.. Rychło wczas!

Klął zeicha, mruczając przez zęby, poczem popędliwie zapytał:

— A kajże to ten worek, co go mam brać?..

— Zarówno ta i z workiem! — odrzekła stara. — A przecie chodzi, kiej cię wołam!

Nie ustępowała. I ona miała dyplomacyę swoją. Co jak co, ale przecie dziecko ujedna ich ze sobą! Powiada Krysta, że go nie będzie chciała... Mało co która nie powiada, a te słowa, to ino ten wiatr po świecie nosi... Jużci się tamten, chudziak, nie powróci, jużci tu Paweł, prędzej, później, gospodarzem będzie! Nie ustępowała tedy.

Podszedł parobek, ociągając się, markotny, niechętny jakby, i, w nogach łóżka stanawszy, patrzył pochmurowato na dziecko i na odwróconą ku ścianie Krystę.

Nagle podniosła stara ku niemu głowę i spytała prędko:

— A jakże mu damy, kiej się na Urszulę rozdził?..

— Niech tam Krysta obiera! — odrzekł Paweł chmurnie.

Podparła stara brodę, sprostowała grzbieta i namyslać się zaczęła.

— Choćby my mu dali Wojtek?.. Ale to tu tych Wojtków zatrzesienie we wsi! Choćby Jasiek?.. Ino, że już trzech Jasków chrześniaków mam... Albo Stacho?.. E... nie! Nie trzeba daleko w pozad w kalendarzu siegać, bo-by chłopak zyza miał. Jakże Krysta? Odezwiij że się! Cóż leżysz jak drewno?

— A dajcie mu tam, jak chcecie! — przemówiła niecierpliwie chora.

Karbowiaczka klasnęła nagle w ręce.

— A choćby my mu, na to mówiąc, Jantoś, dali?..

Odwróciła się Krysta gwałtownie od ściany i na łóżku siadła. Oczy miała rozgorzałe, brwi ściągnięte, na czole podłużną zmarszczkę.

— Nie! — zawołała, trzęsąc głową. — Nie! Aby nie Antek! Jak chcecie, dawajcie, aby nie Antek, nie!

Mówiła prędko, namiętnie, z wielkim ogniem w twarzy, z oburzeniem w głosie.

Stara zamilkła. Nie wiedziała, co rzec.

Paweł od łóżka odstąpił i, trzaskając w palce z powstrzymywanej pasyi, czapkę o ławę cisnął.

Chwilę było cicho. Krysta ręce do głowy podniosła i zakolysała sobą. Żałość ją ogarnęła po tym nagłym gniewie.

— Nieszczęśliwa moja głowa! — mówiła ze skargą w głosie. — Nieszczęśliwe moje życie, i z dolą taką!

A żeby ja już raz ludziom się umkła! A żeby ja im raz z oczów zesza!...

Stara Karbowiaczka głaskała ją po twarzy.

— Cichoj już, córus, cichoj! Już cichoj! Już dobrze! Nie pierwszy Antek w kalendarzu, ani nie ostatni. Nie chcesz, to nie, i cichoj, i już!

Odwróciła się do parobka.

— A weźże jeszcze Paweł z półgarnca miodu od Szymsiowej! Tego pieprznego... Niech ta ludzie jedzą, piją, a nam dobra zyczą...

— Co mi ta po ludziach! — burknął Paweł. — Co mi ta po ludzkim jedzeniu, albo picciu! Kto ta będzie pił!...

— Nie bój się! Będzie tu pełna izba, jeszcze się i sieni dostanie! Niech się ino po wsi obniesie, że czerninę warzę, niech ino wątrobę zaczują, a wódkę, to ich tu będziesz za wiwat miał! Misek i łyżek branknie, a gąb nie!

— Bo było we czworo iść, — odezwał się chmurnie parobek, — dzieciaka pocichu ochrzcić, nie tam...

Nie skończył. Na Karbowiaczkę uderzyły ognie. W pośrodku izby stanęła, podparła się w boki, skry poleciały z małych siwych oczu.

— A ty sobie co rozumiesz — krzyknęła, tupnąwszy nogą. — A ty się tu z kąd taki wziął? Czego ja się będę przed ludźmi kryła?... Czego się będę wstydzila?... Czy to Krysta na gościńcu znalazła, abo na pogrąbkach? Czy to w płachcie ze służby przy-

niosła?... Gospodarska córka je!... Sama sobie gospodyni je!... We swoim gruncie, we swojej chałupie siedzi! Z matką siedzi!... A wara komu do niej!...

Jakeś na pokrytkę przed ludźmi robić chciał, toś se mógł inszej szukać! Parobczyńskiej. dziewczki mogłeś sobie szukać! Po komornicach chodzić! Za wiwat tego we wsi je!...

Zatknęła się od gwałtowności słów, uczuła i krzyku.

Parobek stał skruszony, drapiąc się za ucho.

— A dyć mnie tylko o to, żeby nie publikować po wsi!

Na starą buchnęła nowa fala gniewu.

— Co to nie publikować?... Przed kim nie publikować?... Dziada z babą będę w kumotry prosiła?... Brzozową witką dzieciaka ochrzczę, czy co?... Jak wieś długa, mały duży wie, że się to Kryście przygodziło wedle sakramentu! Wedle tego świętego stanu małżeńskiego! Mały duży wie, że ino patrzeć, jak papier o tym ta chudziaku do kancelaryi przyjdzie, jako nieżyjący jest, a ty na zapowiedzie poniesiesz! A dyćbym ci łeb obdarła, żeby nie to! A dyćbym ci ślepie wyparzyła!

Chrypła aż prawie, wygrażając mu pięściami z największą pasją.

Słuchał chłop i wyjaśniał na twarzy. Jakoś mu się ciepło koło serca zrobiło, jakoś miło. Grunt był żytni, pewny, dobry szczerk... Na dołkach i z psze-

nią probowaćby można... Sprzężaj, jak się patrzy, krów cielných dwie, jałowizna, piętnaście owiec, pobudynki... A to byłby całą gębą gospodarz! Do Krysty go też ciągnęło okrutnie. Wprost ogień od niej na niego szedł... Schylił się, podebrał starą pod kolana i w rękę ją pocałował.

— Toć ja rad, matko!—rzekł.—Toć ja jednej chwili rad! Niech mnie tu zaraz piorun trzaśnie, jeśli lżę! Jeśli dobrego pomyslenia nie mam! Żeby aby Krysta chciała!

Starą Karbowiaczkę udobruchała pokora przysłego zięcia.

— Co nie ma chcieć? — krzyknęła. — Twoja w tem głowa, żeby cię chciała! A cóżes to, nie chłop, żebyś sobie kobiety ujednać nie umiał?—Mówiła jeszcze, a już ją obawa chwytła, że istotnie może się Krysta uprzeć i nie zechcieć.

Więc jak stała, tak się z pięściami do łóżka zwróciła.

— Dałabym ja jej, zatraconej, żeby cię nie chciała!... Na leśne jabłko-bym sprąła! Pierzyń-bym z niej ściągnęła! Z chałupy-bym wygoniła i z dzieciakiem razem! A toć-by ją Pan Jezus ciężko skarał za moją krzywdę... za mój wstyd na stare lata...

Podniosła fartuch do oczu i zaczęła szlochać, tając we łzach z onego gniewu, a urzewniając nad sobą i nad swoją dolą.

Krysta obracała niespokojnie głowę na poduszkach, z piersi jej dobywało się ciche jęczenie.

Błysnął Paweł ku niej raz i drugi okiem.

— Jakże, Krysta? zapytał wreszcie.—Będiesz mnie chciała?

Milczała. Do łóżka podszedł i chciał pogłazić jej rozrzucone włosy.

Szarpnęła się i zastawiła ręką.

— Idź! Idź!—krzyknęła popędliwie —Idź!...

— A cóże ty, Krzysia?—zapytał chłop miękkiem głosem.—Cóżes ty taka zła na mnie?... Przecie ty dobra na mnie była?... Jakże?...

— Byłam, to byłam! A teraz nie! Na wiatrak miałeś jechać!

Złość się w chłopie zaczęła gotować, więc się nagle sprostował, popatrzał ponuro w ziemię, potem się plecami na izbę obrócił i do okienka podszedł.

— Jak jechać, to jechać!—odezwał się, pomilczawszy.—A to i miesiąc już nad stodołę wylazł. Brrr!...—dodał, otrząsając się z jakiegoś wewnętrznej goryczy, z jakiegoś wewnętrznego zimna.

Starej Karbowiaczce przypomniało się nagle, że ten parobek, nie wołający o zapłatę, kozucha nie ma.

Opuściła tedy fartuch i wytrzeszczyła zaczerwienione oczy na Pawła.

— To jakże ty, Pawełek, bez kozucha na ten wiatrak?

— A w lejniku!—odparł chłop pochmurnie. I on przypomniał sobie, że darmo robi, że grosza nie widzi, ot tyle jego, co poje. Więc w nim coraz bardziej kipiało.

Stara patrzyła zafrasowana to na córkę, to na parobka, to na żerdź zatknietą w belkę, na której wisiała odzież.

— Krysta!... — odezwała się, pomilczawszy. — A słysz ino, Krysta! Kiedy już tak na to przyszło, to Panu Jezusowi ochfiarować i niechby ta Paweł Antków kozuch brał?...

Mówiła głosem niepewnym, jak gdyby próbując i szukając drogi.

Ale Krysta porwała się z poduszek i klasnęła w ręce.

— Laboga! Laboga! — krzyknęła gwałtowniej jeszcze, niż przedtem. — Tera znów kozuch!... Tera znów Antków kozuch!... Laboga!...

Starą gniew brał.

— A nie bądź głupia i nie wrzeszcz, kiej cię nikt ze skóry nie drze! Głupia! Nie wiesz to, że Paweł cały rok o pieniądzu nie wołał?... Że kozucha nie ma?...

— To mógł wołać! To czemu nie wołał? Ja tam jego niewołania nie chcę! Niech idzie do półskrzynka. Niech pieniądze za wieprzka bierze!... Niech moje korale poprzeda! A Antkowego kozucha nie dam! Nie dam!

Szarpnęła z szyi sznur grubych koralu, które się po łóżku i po izbie rozsuly.

Karbowiaczka załamała ręce.

— A cóż ty, córko, najlepszego robisz? A ciebie co znów podleciało?... A toć Antek i tak już tego kozucha nie pożyje! A toć mu i tak nie po nim!...

— Niech tam nie pożyje! — wołała Krysta. — Niech mu tam będzie nie po nim! A ja nie dam i nie— Pięścią o pięść uderzyła, drobne łzy trysnęły jej z gorzących gniewem oczu.

— Pssia!...—warknął parobek, na izbę splunął i, trzasnąwszy drzwiami, wyszedł.

Spała jeszcze Karbowiaczka nazajutrz po chrzcinach, które się w kilka dni potem odbyły, kiedy ją zbudził głos Krysty.

— Matus!...

— A co, córuchno?

— Wstanę...

— Po co? Leżałabyś oto, kiedy ci pod pierzyną ciepło!

— Wstanę!...—powtórzyła Krysta.

— A cóż ci tak pilno? Robota cię woła, czy co? W izbie zimno, w kominie zimno, po co będziesz wstała?...

— Wstanę, matko!... Zaduszki dziś... Poniosę księdzu za Antka... Lżej będzie!

Starej błysnęły oczy. Rozbudziła się i na łóżku siadła.

— Jużci, że mu lżej będzie, chudziakowi, jak za niego ludzie ten paciorek święty pomówią... Jużci że!

— Mnie lżej będzie, matko! Mnie może lżej będzie!

Westchnęła głęboko, jak gdyby wielki ciężar piersi jej przygniatał, i mówiła z wolna:

— Niech ta już na nim będzie ta mogiła, kiedy tak! Niech ta już na nim ta trawa porasta! Niech on ta już nie widzi, nie słyszy, kiedy tak! Niech ta już!...

— Bo i pewno, córuś, pewno! — przywtarzała Karbowiaczka, rada, że myśli Krysty taki obrót wzięły. — Bo i pewno!... Panu Jezusowi ochfiarować do tych pięci ran, i już! Radziła ja się wczoraj i kumotrów, i sołtysa, i inszych. Kaździuśki mi przytwierdził, że niema co, tylko Panu Jezusowi ochfiarować!

Krysta milczała, odziewając się drżącymi rękami wśród chłodu i nieładu izby, wśród śladów po wczorajszej biesiadzie. Pilno jej było ztąd iść, pilno za Antka na mszę dać. A toć go tu pochowali jakby... Toć tu, jakby na pogrzebie jego pili...

Starej Karbowiaczce takóŜ się ręce trzęsły z pośpiechu i z jakiegoś tajemnego wzruszenia. A i roboty w izbie było choćby na dwie. Ludzie się rozeszli późno, czasu nie było na sprzątanie: po pieprznym miodzie, po wódce z galką, stara Karbowiaczka, jak stała, tak się rzuciła spać, z głową rozchmieloną, rozgrzaną, z oczyma zmruŜonemi od śmiechu i płaczu ra-

zem, kontenta, że się chrzciny udały, że wszysey radzi byli wątrobie i czerninie z gęsi, wszysey dobra życzący, a głowami kiwający, jako że to ino patrząc, ino patrząc, jak Paweł na zapowiedzi poniesie. Ba! Toć mu się jeden i drugi na wesele przymawiał! To i dobrze! To i chwalić Boga, kiedy tak! To się skończą one płacze, one lamenty... A i obrazy Boskiej też nie będzie i zaproszenia oczów...

Rozmyślała to sobie stara Karbowiaczka, drepąc po kątach i odmawiając poranne pacierze, kiedy nagle przypomniwała coś sobie i na środku izby stanęła.

— A jakże będzie z jarmarkiem, Krysta?... A toć ja się z kumotrami namówiła razem na jarmark do Brzeźnicy iść! A toć my byśki poprzedać mieli? Paweł też brony kupić miał... To jakże teraz będzie?..

— A idźcie, macie iść!...

— A jakże z dzieciakiem będzie, kiej do Kościelnicy chcesz?... Toć się tu zawrzeszczy, przegłośnieje na nie!

— A niech się tam robi co chce!

Stara się zamyśliła.

— Głuchej-by chyba zawołać? Niech se kartofli uwarzy, poje, a dzieciaka popilnuje i mlekiem popoi... Jakże?...

— A niech go ta popoi...

— Bo to na jarmark krótka droga, ale z jarmarku długa... Człowiek się spotka z tym owym, tu sta-

nie, tam pogada, to się i noc przybliży... Długoż ty tam będziesz siedzieć w tej Kościelnicy?

— Bo ja wiem? Sztuk drogi jest... Dobrej siły nie mam do cna w sobie... Tylko we mnie te żyłki dygocą...

— Hm!... Hm!...—pomrukiwała stara.—Bo to to widzisz, córko, jakby co, tobyś i jutro mogła...

— Nie, matko, nie! Pójdę... Zaduszki dziś... Niech tam, pójdę!...

Zawiązała pieniądze w szmatkę, schowała je w zanadrze i schyliła się do matczynej ręki.

— Ostańcie z Bogiem...

— Idź z Bogiem, córuchno, kiedy tak!... A nie zaglądniesz to do dzieciaka...

— Niech ta śpi, kiej śpi... Co będę zaglądała?...

Wyszła. Zamyśliła się na to stara i podparła brodę.

— Wyszła—i ani na dzieciaka spojrziała... Oj będą tu jeszcze termedyje, będą, nim Paweł wesele wyprawi!... Oj będą!—mówiła sama do siebie, stojąc na progu chaty i patrząc za idącą ku Kościelnicy Krystą.

Ranek był bezsłoneczny, mglisty, powietrze ciche, ciepłe. Jakaś miękkość w niem była, jakaś słodycz, coś, co człowieka tuli i spokoju.

Smętność szła polami pustemi, wypoczywającymi; nad ziemią rozwodziła się już wielka, przedsenna, przedzimowa cisza.

Okolica była otwarta, dalekowidna, wskroś siniejąca, aż po nieba skraje. W szarości ranka pobłyskiwała rzeka, rznąca się pod wieś półkrągło, jakby sierpem jasnym; niskie łąki, pełne rozlewisk jesiennych, leżały nad nią w parach modrawych. Wskroś okolicy, het na zachód słońca, ciągnęła się droga topolami sadzona, w której dalekiem, siniejącem przezroczu majaczyła wieża stojącego na wzgórzu kościoła.

Drogą szła Krysta. Szła wymizerowana, chwiejąca się, blada. Głowę jej owijała duża, cienka chusta, gładkie pasma ciemnych włosów przylegały do zapadłych skroni, spuszczone rzęsy kładły na śniadawe lica cień długi i drżący. Szła spiesząc. Oczy utkwiała w ziemię, ręce pochowała pod gruby, jaskrawy, zarzucony na ramiona fartuch.

Miała ona właściwy sobie, jak gdyby w siebie tulący się, ruch, który ją czynił drobniejszą na oko, niż była. Teraz, po świeżo przybytej chorobie, ten ruch powracał jej często. Mimowoli podnosiła barki, tuliła w nie głowę, zakładała ręce na piersi i przyciskała do boków łokcie, jakby się chroniąc przed czemś szorstkiem, przed czemś zimnem, ostrem.

Długą chwilę tak szła, ogłuszona jakby, z głową ciężką od wczorajszej wrzawy, nie czując nic, prócz wielkiego zdumienia nad tem, co się stało.

Tak ją to wszystko obkoczyło od jednego razu, jak ten potrzask ptaka. Z Pawłem nigdy o kochaniu

mowy nie było, a ot co się stało! Za tym swoim mizerakiem na koniec świata-by szła, duszę-by dała— a ot co się stało!

Dopóki dzieciak nie był ochrzczony, zdawało jej się, że nieprawda chyba, że zmora taka jest, z której przecknie. Ale teraz się skończyło. Wszystko się teraz skończyło! Teraz dzieciak imię ma, chrzestnych ma, w księżce zapisany stoi... A toć u nich w chałupie chrzciny wczoraj były...

— Chrzciny były... — powtarza sobie w myśli; wąskie jej brwi podnoszą się wysoko na smagłym niskim czole, a głowa się chwieje z jakiegoś wielkiego, żalosego dziwu.

— ...Reta! Reta!... Co się to porobiło! Co się to stało!

Uderzają na nią nagle ognie wstydu, buntu, gniewu. Chce się porwać i iść, iść, na koniec świata iść, a nie patrzeć na to dziecko, na Pawła... Wstręt nią wstrząsa, wstręt i strach: uciekać od wszystkiego chce. Podnosi barki wysoko, jak ptak złamane skrzydła do lotu. Ale cisza szerokich pustych pól spokoju ją zwolna. Ramiona opadają, podnoszą się źrenice na powietrze sine, na twarz jej wybija surowa zaduma.

.. Nie za nas się zaczęło, i nie za nas skończy... Słowa matki wracają do niej posępne, wyroczone jakieś, a takie ciężkie, jak ten młyński kamień!

...Chybaż to ono i prawda... Chybaż i ona musiała na to paść... Chybaż to tak musiało być... Chybaż to tak ze wszystkimi zawsze musi być...

— Jezu! Jezu!—szepce Krysta, i w jakimś nagle i głębokim porozumieniu z dolą chwieje głową zwolna.

Ciemne poczucie konieczności zagłady wszystkiego, co było jasne, kwitnące, żywe, bije na nią z tych pól nagich, obumierających.

...Chybaż to już po ziemi chodzi taka moc... Taka ślepa, ślepa moc... Ślepa taka i stara taka... Gdzie! Starsza od wsi całej i od wszystkich ludzi! Co sobie ziemia kwiatuszków napłeni, co sobie radości podhoduje, co gniazd naściele, to ta moc wszyściuśko zdusi..

I co sobie ludzkie serce dobra i wesela nasieje, co zakwitnie kochaniem, jak ta płonka kwiatem, zaraz ona się zamachnie i zdusi. Taka moc jest! Taka ślepa moc!

Tuli Krysta głowę w ramiona, dreszcz idzie po niej, jakby od nagłego wiatru powiania. Ale wiatru niema. Jest cisza. Długi rząd огоłoconych z liści, przejrzystych już topoli, przeprowadza ją ulotnym, delikatnym szmerem. Drobne, nagie gałązki chwieją się i trącają o siebie, jakby ruszone tchem cichym, dalekim...

Idzie Krysta po przydrożku, szmeru tego słucha i przyspiesza kroku.

Kościelna wieża przybliża się coraz, jakby przez powietrze płynęła z krzyżem i dzwonami. Naraz zakoleysały się dzwony i bić zaczęły daleko gdzieś, wysoko. Dźwięk ich głuchy, stłumiony wzmagają się, ustają, i znowu się wzmagają, i znowu ustają.

Są to jakby ogromne, płynące, nadziemne westchnienia. Fala ciszy bierze je w siebie i czyni się niespokojna i drżąca.

Z piersi Krysty dobywa się jęk przeciągły, długi. Twarz jej staje się jeszcze śniadsza, w oczach zapala się posępny ogień. Ścisną w rękę szmatkę z pieniędzy i kiwa głową.

— Już tobie ament, Jantochna, już tobie ament! Już ty się skończyła dla mnie, a ja się skończyła dla ciebie. Już tobie krzyż, Jantochna, i gromniczna świeca...

Oj, pomarł ty, pomarł dla mnie, czyś żyw, czyliś nie żyw... Oj pochowała ja ciebie głęboczko w ziemię, oj usypała ja tobie mogiłę, Jantochna, oj usypała! Nie usypała ja ci jej z tego piasku, z tego drobnego, ale ci ją usypała z grzechu śmiertelnego... Oj urosła mogiła, urosła, oj stanęła od ziemi do nieba, oj nie daje tobie do mnie, ani mnie do ciebie!... Już ty śpij, Jantochna, już ty śpij, już ty się nie przebudzaj!

Już ja za ciebie mszę mówić dam, już ja tobie

na dobrą noc we dzwony dzwonić dam, już ja z tobą ament zrobić idę!...

Cichnie i przyspiesza kroku.

Chce się coprędzej odgrodzić od kochania swego krzyżem i gromniczną świecą. Może lżej będzie... może lżej...

Jak się do chaty wróci, jak zmocnieje, to po miesięcznym świetle przededniem wstanie i kamień do rzeki zatoczy. Największy, najcięższy, jaki ino gdzie,—zatoczy. Powiadają ludzie, że jak taki kamień na głębie, na dno pójdzie, to człowiek o wszystkim zapomni. Żeby go nożem w serce pchnął—zapomni. Ot, kamień w wodę!...—mówią.

Idzie coraz prędzej. Drobnym perlistym pot okrywa jej niskie, śniade czoło, siły biją na nią. Dzwony milkną. Milkną zwolna, jeden po drugim, w szerokich echach i westchnieniach. I znów robi się cisza. Topole tylko szepcą w niej lekkim, ledwo słyszalnym szmerem nagich gałązek, jakby po nich szedł głos zdaleka gdzieś, zdaleka...

... Krysta!... Krysta!... Krysta!...

Odwraca Krysta głowę, otwiera szeroko oczy i patrzy.

Jak zajrzeć, puste, puste pole. I wieś i chatę nakryły pary sine; ledwie coś nie coś modrzeje. Droga jakby się rozplynęła, roztajała, za nią tylko topole idą... idą... idą...

Krysta czuje się jakby zatopiona w tej szarej

pustce, w tej cichości pól, która aż dzwoni nad nią. Ogarnia ją to tak, jakby wielka, wielka woda. Tuli głowę w ramiona, mruży oczy i powtarza zeicha:

— Nie, tylko kamień na dno... tylko kamień...

Siada, odpoczywa, potem znów idzie. Godzina za godziną płynie, a drogi nie ubywa prawie.

Tymczasem od szarości widnokregu oderwała się sylweta pośpiesznie idącego człowieka.

Na pierwszy rzut oka poznać można było, że albo drogę skrócić chce, albo też jej nie zna.

Ciężkimi, dużymi krokami na przelaj przez ugór szedł, wynurzywszy się z poniża od strony zarośniętych trzciną torfowisk, że prawie, jakby w oczach z pod ziemi wyrosł. Zaraz też musiał zobaczyć Krystę na pustej, wyniesionej nieco nad polami drodze, bo zaczął ręką machać, krzycząc co siły:

— Hej!... Hej!... Hej!...

Krysta obejrzała się i stanęła.

Człowiek był podróżny i zdawał się cudzy. Zdaleka widać było, że węzełek u kija uwiązany na ramieniu niesie, a kiedy się przybliżył, zasiwiała na nim żołnierska kapota.

Z boku jej zachodził, skacząc przez zagony, przez rowy i ciągle wołając.

W Kryście zaczęło się serce tłuc. Zdawało jej się przez chwilę... Jezu miłosierny! Co jej się zdawało?...

Człowiek już blisko był, kiedy zobaczyła jego

twarz dziobatą, śmiejącą się, i zapadłe oczy. Krysta nie była pewna.

— Zna, albo i nie zna!... Chyba, że taki zna!...

— Walek! — krzyknęła wreszcie, klasnąwszy w ręce. — Toć Walek! A ty się tu zkąd wziął?

A już i on stał i, patrząc na nią, śmiał się i wołał:

— Krysta!... Dalibógże Krysta! A ja myślał, co Marcychna Pawłowej! Ha... ha... ha!...

A wtem go schwycił gwałtowny, nieuhamowany kaszel. Zaniósł się chłopak raz i drugi głęboko, ode dna piersi gdzieś, aż posiniał w twarzy, we dwoje się ku ziemi zgiął, za piersi chwycił, i kaszłał, kaszłał kaszłał...

Parę razy podnosił głowę, chciał mówić, oczyma i twarzą znaki dawał, ale go ten rozdzierający kaszel nie puszczał do słowa.

Po długiej dopiero chwili uspakając się zaczął zwolna, jęcząc i śmiejąc się naprzemian, a zdjawszy kaszkiet żołnierski, ocierał pot z krótko postrzyżonych, czarnych włosów i zapadłych skroni.

— A to ci chrypota! — mówił zmienionym, urywanym głosem. — A to mnie umordowała! A że by ją...

Stał chwiejący się, zmęczony, spotniały, z trzęsącą się na cienkiej szyi głową.

— U — ha! — Trza mi też było na prom isć!...

A tom się zbrodził po tych bajorach, jak kaczor...
O kęs, żem duszy nie zatopił... U—ha!...

Kaszał, śmiał się i stękał, odpoczywając, i dech łapał ledwie.

— Zkądże się ty tu wziął?... — spytała Krysta z dziwem.

— A ze świata!

Skoczył przez rów, dzielący go od drogi.

— Niech będzie pochwalony!—rzekł.— Witajże Krysta! Antek przyszedł?

W Kryście dech stanął. Zbielałe usta otwarła bez głosu i zaczęła na całym ciele drzeć, ściskając konwulsyjnie niesione na mszę pieniądze.

Walek się śmiał.

— Cóż ty tak zesłupiała? A przecie jego razem ze mną z lazaretu na poprawkę puścili! Przecie my aż do Grannego razem szli! Tylko, że się potem Antek na prom, na Rybitne puścił, a ja przez kępy chciałem, że niby bliżej... Ale to ta może i na Rybitnem prom zniosło, kiedy taka woda! To on chyba na Mosty musiał, kiedy tak!... To jego i na zachód słońca nie będzie!... Cóż ty? Nie wiedziała?... Cóż się, jak ta osika, trzęsiesz?

Targnął ją za rękaw.

— Krysta! A gadajże przecie! A odezwijże się tak, albo tak!... Cóż ty?...

Odetchnęła głęboko, przeciągając ręką po twa-

rzy, po czole. I twarz i ręka wydały jej się, jakby trupie, cudze...

— Jezu... — zaszeptała martwym, bezdźwięcznym głosem.—Jezu miłosierny...

Ale ją ten własny szept przeraził, jakby huk stu dzwonów.

Skuliła głowę w ramiona, zmrużyła rzęsy i, obróciwszy się nagle na szarość i siność pól, które leżały za nią, zaczęła iść spiesźnie i cicho.

— Czego lecisz?... — zawołał Walek. — A czekajże! Hej... Krysta!... Powiedz tam Antkowi, żem do Kościelnicy do Pawłów poszedł!... Marcychnę nastraszyć!... Hej...

A wtem go schwycił nowy paroksyzm kaszlu i do ziemi przygiął.

Krysta szła. Topole, droga, szare bezsłoneczne niebo, wioska modrzejąca w torfowych oparach, wszystko to kołowało przed nią. Cotnęła raz i drugi głowę mimowolnym ruchem, bo jej się zdawało, że lada moment zwali się co na nią, że się wprost czołem o to wirujące powietrze uderzy. W uszach miała szum jakby wielkiej wody, a w piersiach taką pustkę i taką czarność, jak kiedy kto głęboki dół w ziemi wybierze.

Nie czuła nic, ani troski, ani radości, ani zmęczenia; wiedziała tylko, że musi iść, iść...

Szła tedy prędzej coraz. Topole migały jedna za drugą, szare, bezlistne, jednostajnie wyniosłe i dro-

bnemi gałązkami chwiejące. Każda się z nich zbliżała z cichym delikatnym poszmerem, i mijała, szepcąc, idącą spiesźnie Krystę. Ledwie ją jedna minęła, już druga szła.

... Na Mosty poszedł... Na zachód słońca będzie... — szeptały wszystkie. Pełne powietrze było tego szeptu.

Kołująca, zmęczona myśl Krysty chwyciła się tych słów i zwiśla na nich, jak ptak w sidle.

... Na Mosty poszedł... Na zachód słońca będzie... Na Mosty poszedł... Słowa te jednak były dla niej tylko pustym dźwiękiem. Prostu nie zdawała sobie sprawy o kim tu mowa, kto to na Mosty poszedł, kto na zachód słońca będzie. Te słowa, które ją przyprawiły o obłęd niemal, były dla niej niezrozumiałe, obce. Nie czuła nawet, że je szepcą własne jej, zimne i zmartwiałe usta.

Tak doszła do miejsca, gdzie się kończyła wysada. A kiedy topole przestały szemać na nią, i Krysta szepł swój urwała, także nie wiedząc o tem.

Szła teraz siarczystą splazą, szeroko rozjeżdżoną przez wózki chłopskie, i racicami pędzonego tędy bydła zdeptaną.

I nagle na tym piasku, w który oczy jej były utkwione, ujrzała z wielką dokładnością rynek miasteczka, z którego przed dwoma laty nowobranicy szli. Ot, wszystko jakby żywe przed nią.

Kilkunastu chłopów w kożuchach i mieszczan w kapotach przy podwodach stoi... Pod długim żółtym murem szereg skulonych postaci kobiecych... Z pod grubych chust słychać szloch i lament... Trzęsą się pod niemi głowy siwe, niemocne; wypłakane oczy patrzą na idących w świat synów-żywicieli... W pośrodku rynku ustawiają się czwórkami rekruci... Antek w ostatnim rzędzie przyzostaje się, ociąga, zawraca do niej jeszcze. Już na niego starszy dwa razy fuknął, już za plecy pehnął, ale ich ręce, ich głowy, ich usta rozłączyć się nie mogą...

— Będiesz mnie czekać, Krysta?

— Będę...

— Wiernie?..

— Wiernie.

— Tak ci Panie Boże dopomóż?..

— Tak mi Panie Boże dopomóż!...

— Pamiętaj!

A wtem zahuczał bęben.

— Antek! — krzyknęła Krysta, a krzyk ten w pustem polu odbity ocucił ją z jej martwoty.

Ogromna jasność uderzyła w nią, jak pożarna luna. Zrozumiała teraz, że Antek wraca, że go na poprawkę puścili, że na Mosty idzie, że dziś jeszcze tu będzie. Wszystko, wszystko teraz zrozumiała. Jak w godzinę śmierci jasno się czyni konającemu od gromniczej świecy, tak jej się teraz uczyniło jasno. Strach, strach, jak jasno!

Szczęście, ból, trwoga były na nią razem i przenikały ją, jak ostre noże. Nie widziała, gdzie się co kończy, albo gdzie zaczyna, bo szczęście było, jak sam ból bolesne.

— Reta!—krzyknęła, zaciskając pięście, jakby się temu gwałtowi zmieszanych uczuć bronić chciała. Dusił ją, mordowały, dreszczem i ogniem po niej szły...

Otarła zimny pot z czoła, szarpnęła koszulę pod szyją.

— Co ona teraz robi?... Co robi?... Co?...

Podniosła w niebo rozpalone oczy i utkwiała je w jego bezbrzeżnej, przezroczystej szarości, z natężeniem śmiertelnej trwogi i rozpączy. Aż nagle zaszklila w nich rosa.

— O Matko Boska!.. O Matko Boska Częstochowska!... Ratuń duszy mojej...

Złożone ręce przyciskała do piersi, głos jej był żarliwy, gorący, spojrzenie udręczone, błagalne, strzeliste. Szła tak czas jakiś, przebijając oczyma niebiosą, a utykając na piasku, kiedy droga jej zniżyła się nagle.

Krysta dochodziła do wsi. Zdaleka już słychać było gwar głosów ludzkich i porykiwanie bydła. Ludzie wracali z jarmarku, z Brzeżnicy. Kupkami szli pokrzykując na wolce, na krowy i gwarząc z sobą.

Z oddalenia, w jakim była Krysta, tworzyło to jednostajną, zmieszaną z turkotem wozów i gęganiem

gęsich stadek wrzawę, z pośrodku której tryskały, jak race, pijane okrzyki, przyspiewki, trzaskanie z biczków i poryk buhaja.

Myśli Krysty gwałtownie zwróciły się w tę stronę.

... Ludzie z jarmarku idą, to i matka idzie... albo i przyszła już może... I Paweł...

Imię to odbiło się w jej myślach jakimś dziwnym echem. Zastanowiła się nad niem, jakby je słyszała raz pierwszy.

— Paweł...

I nagle ciemna czerwoność oblała jej twarz, czoło, szyję. Krysta uczuła wstyd sama przed sobą. W tej szerokiej pustce polnej uczuła wstyd pałacy, dziewiczy i spuściła oczy.

Szła tak czas jakiś w wielkiej, z dna serca dobytej łunie, która na niej ugaszała zwolna. Gwar głosów zbliżał się wprost; był coraz już bliższy, coraz wyraźniejszy.

Obejrzała się Krysta w bok i z drogi zesła.

.... Przez ogrody pójdzie, nie przez wieś... Ku Mostom pójdzie... Droga się krzyżem przetnie... Pójdzie daleko, aż Antka spotka... Choćby do samych Mostów przyszło iść, pójdzie! Zdaleka go uwidzi, zdaleka... On ją też zaraz uwidzi... Zdaleka ją pozna... Sokołem do niej polecą... Wichrem do niej polecą... A ona do niego... do niego...

— Niech co chce będzie! Niech się co chce dzieje! Niechże on choć jedną godzinę dobrą ma! Niechże on choć raz, choć raziczek dobrem sercem przytuli ją do siebie! Niechże on choć przez tyła, co ten jeden pacierz, rad i szczęśliw będzie, że się do dom wrócił!

Mówiła teraz głosem słodkim, stłumionym, przejętym. Gwałt uczuć w niej opadł, ucichł; ogromna, smętna rzewność zalewała jej serce, jej duszę.

.... Niechże on, chudziak, choć ździebło radości ma!... Niechże mu się powróci wierność i kochanie!... Niechże mu jeszcze ten świat zapachnie kwiatem!...

Mówiła i myślała o wracającym, jak się mówi i myśli o umierającym, który już jutro słońca nie obaczy. Aby dziś... Aby dziś... Aby chwilę jeszcze!

O tem, co się z nią stanie, co z nią będzie, nie myślała jakoś. Jej strach, jej przeraźliwa trwoga roztajała w tem jednym pragnieniu:

.... Aby raz... Aby raziczek jeszcze!...

Była teraz na grobli, za którą czerniał krzyż w powietrzu mglistem. Wytężyła oczy i wydało jej się, że z pod krzyża podnosi się człowiek. Nie widziała go prawie, ale jej się wydało.

Żar buchnął na nią, serce się w niej zatrzęsło, rozpadło jakby...

— Antek! Antek! — krzyknęła wielkim głosem i, wyciągnawszy ręce przed siebie, rzuciła się przez groblę biedz, jakby ją wiatr poniósł.

Ogromny gwałt bólu i kochania zadźwięczał w tym krzyku. Gruba chusta spadła jej z głowy na ramiona, zarzucony na plecy fartuch powiewał za nią w mgle sinej, niby wielkie skrzydła, a ona, jak ptak oślepiiony, leciała w tę siność i w tę mgłę, z odrzuconą w tył głową, krzycząca, szlochająca, w łzach i w ogniach cała.

Poznał ją Antek zdaleka.

— Krysta! — zawołał — Krysta!

Lecz nim się opamiętał, już mu na piersiach leżała, już jego szyję rękami obejmowała, już twarz swoją śniadą ze łkaniem do niego tuliła.

— Jantochna!... Jantochna!... Laboga reta, Jantochna!...

W krzyku spoiły się ich usta, i tak stali — niemi.

Młody żołnierz ocknął się pierwszy z tego upojenia. Wziął oburącz jej ciemną, podniesioną ku sobie głowę, odsunął nieco i patrzył. Patrzył długo, chciwie, pilnie.

— A cóżes ty mi się tak wyciągała, Krysta? Cóżes się tak zmizerowała?

Splonęła nagłym rumieńcem, sypiąc iskrami łez ze spuszczonej rzesów.

— Bez ciebie tak, Jantochna, bez ciebie!

— To ci tęskno było za mną?

— Oj tęskno, Jantochna, tęskno tak... jak bez tej wody! Jak bez tego chleba!

— Toś rada, zem się do ciebie wrócił?
— Oj rada, Jantochna, rada! Jakby mi się ta dusza własna wróciła!... Takam rada!...

— W chałupie wszystko dobrze?

— Wszystko, Jantochna, wszystko!

Stała przyciśnięta do niego, nie puszczając mu rękoma szyi; a i on nie puszczał jej głowy i patrzył w twarz, od której bił żar męki i szczęścia razem.

Mileczał chwilę, poczem się ku niej pochylił, oczy w jej oczach utopił i rzekł zcicha:

— A była ty mi tu wierna, Krysta?

Zadrgały jej rzęsy.

— Oj była, była, Jantochna!

— Tak ci Panie Boże dopomóż?

— Tak mi Panie Boże...

Głos jej się zarwał i buchnęła płaczem.

— To i czegoż ty płaczesz, kiedy tak?

— Z radości płaczę, Jantochna! Z radości i z kochania płaczę.

Wtedy chłop głowę jej puścił, z głowy czapkę zdjął i do krzyża jasny wzrok obrócił.

— Dziękuję ci, Panie Jezu Chryste, żeś mnie łaską swoją przenajświętszą z tej drogi do dom szczęśliwie powrócił, a wszystko dobro w opiece swojej miłosiernej uchował! W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen!

Przeżegnał się szerokim krzyżem, powoli rękę

z ramienia na ramię przenosząc, poczem zaraz mile na Krystę spojrzawszy, do piersi ją sobie przytulił.

— No, już nie płacz, nie płacz, Krzysiu! Mojaś ty!... Moja?... Moja?...

— Twoja, Jantochna, twoja!...

Drżała pod wrażeniem modlitwy Antkowej; zęby jej szczękały zcicha.

— A niech tam!—myślała. — Niech się tam co chce dzieje! Niech tam goreję w piekle na wieki wieków!...

— A czegoż się tak trzęsiesz, niebogo?

— Zimno..

Skuliła głowę w ramiona i zmrużyła rzęsy.

— Pójdźmaż prędzej do domu, to się pogrzejesz!

Ruszył się iść, nie puszczając jej szyi.

Teraz dopiero zauważyła, że Antek kuleje nieco. Nie rzekła przecież nie. Oczy jej to widziały, ale nie doniosły aż do duszy, na której leżała wielka cma, wielka czarność jakaś!... Aż widząc, że Antek ku drodze się obraca, ocknęła nagle.

— Przez groblę pójdźma, Jantochna, nie przez wieś!.. Bliżej będzie...

On się śmiał.

— Oj, ty, ty!... Abo ty wiesz, co to blisko, abo co daleko!... Mnie się pytaj o to, mnie! Toć ja na takim okraju świata był, że to za morzem jesz-

cze... Tom już ani pisać dużo nie pisał, bo gdzież-by to papier mógł, kiedy ja ledwo doszedł!

— Oj uglądała ja twego pisanie, uglądała, jak ta kania dżdzu ugląda!... Oj czemu ty, czemu, choć tyle nie napisał, żeś żywy...

— Napisałem! Dalibógże napisałem! „Zakazane” pismo napisałem! Jakże? To mi je tera dopiero w Artelu oddali, że nie mogą trafić! To chodziło więcej niż cztery miesiące po świecie. Powiadają w Artelu: Żle pisane! Jakże źle pisane?... — mówię. — Toć wyraźnie stoi: Do Krysty Żulnierki. Powiadają: Mało! Jakże mało niema być na tyle drogi? A toćżem przecie zakulał do ciebie idący!

— O Jezu! Jezu!.. I bardzo cię boli?

— Eee... tak, niebardzo! Nie tak bardzo! W drodze to mnie tego bolało! Ale tera niebardzo! Tera-
bym i do Kościelnicy zaszedł!

Szli zwolna przytuleni do siebie.

On głowę podnosił wysoko, jasnym okiem po polach spozierał, całował ją, po włosach gładził, mówił, pytał. Odrazu chciałby jej wszystko powiedzieć, odrazu o wszystkim wiedzieć. Tak wiele szczęścia w piersiach miał, że chwilami urywał mowę i śmiał się głośno do tego szarego nieba, które ich obejmowało wczesnym mrokiem, do tych pustych ugorów, do życia.

Krysta szła, przygięta nieco jego ramieniem, ze schyloną głową! Miała ona wielkie, obłędne spojrze-

nia, jak ten, który w przepaść idzie. Coś nie coś tylko z tego, co mówił Antek, dolatywało jej uszu. Szła w zamysłach cała, w jakiejś wielkiej naradzie z duszą własną; wąskie jej brwi podniosły się wysoko na czole, przeciętem grubą w podłuż zmarszczką.

Tak weszli na grobę.

— Takim rad, Krzysia — odezwał się Antek — takim rad, jakby mi tu kto sto rubli pieniędzy na rękę naliczył! Gdzie!... Więcej!... Żeby mi kto i sto dwadzieścia naliczył, tobym jeszcze tak kontentny nie był, jak z tego jestem kontentny, że się do ciebie wróci! Okrutniem się stęsknił! Takem ci się stęsknił, Krzysia, że to ha! Co mówisz?...

Nie mówiła nic. Może usta jej zaszeptały same jakie słowo rozpaczy, ale nie wiedziała o tem.

— A nie patrz-że w ziemię, tylko na mnie patrz!... A dyć ja te oczy twoje precz przed sobą widział!.. het... aże za morzem!.. To ci Walek powiedział, że idę?

Podniosła głowę.

— A ino...

— Kiedyż on tam do was zaszedł?

— Na drodze go spotkała...

— To gdzieżeś szła?...

Ogień buchnął na nią.

— Tak szłam...

Przypomniała sobie, poczuła raczej, że dotąd ści-

ska w szmatce pieniądze, które za duszę jego niosła. I mimowoli, owszem, jakby z musu jakiegoś, rzekła:

— Zaduszki dzisiaj...

Westchnął na to żołnierz.

— Wieczny odpoczynek racz im ta dać Panie, a światłość wiekuista niech im ta świeci!

— Ament! .. — dokończyła Krysta cichym głosem.

Ale on już głowę podniósł, rozśmiał się i, spojrzawszy przez gróblę ku wsi, rzekł:

— A to ci z chałup dym wali! Abo baby chłeb pieką, abo co?... Widzisz, Krzysia?... Jakże?...

I, nie czekając odpowiedzi, mówił dalej:

— A witaj, przewitaj, ty dymie siwy!.. Dymie jałowcowy!.. Hej!.. Hej!.. A ja już myślał, co się nijak nie dobiję do chałupy .. do ciebie!.. A dzięki ci, Boże!.. A pódźmaż sporzej, Krzysia! Matka wiedzą?

Drżał prawie z niecierpliwości, szczęście biło mu z twarzy pochudłej i wiatrem spalonej.

Więc się pohamować nie mogąc i odpowiedzi Krysty nie czekając, chwycił ją wpół i całował jej usta, jej oczy.

— Hej, Krzysia! Krzysia!.. A toć my znów razem!..

— Razem, Jantochna, razem!..

— To się radujesz, kobieto!..

— Oj raduję się, raduję, mało mi to serce nie pęknie na dwoje...

Przytuliła ręką piersi i jęknęła zeicha.

Była teraz to blada, to czerwona, oddech miała urywany, krótki, świszczący, spojrzenia niespokojne, ulotne...

Za gróblą już byli, w ogrodach, o jakie trzy staja ode wsi.

Wtem Antek syknął.

— Chciałem pospieszyć—rzekł—ale nie idzie!.. Tęgom się sforsował w tej drodze!

Zatrzymał się i nogę rozcierał.

Krysta przełknęła ślinę, miała jakby chwilę wahania.

Aż nagle podniosła ku niemu twarz poszarzałą, jakby w nią kto popiołu dmuchnął, i rzekła bezdźwięcznym głosem:

— To idźże se, Jantochna, wolniuśko, a ja przodem skoczę... Matce powiem...

— E... nie!.. Czekaj lepiej!.. Pójdziema razem!

— Za półpacierz wróć! Wolniuśko se idź! Ja w mig skoczę.

Odwróciła się i zaczęła śpiesznie iść.

— Czekaj, Krzysia!.. Toć czekaj!.. — wołał Antek.

Ale nie czekała. Szła prędzej coraz. Z pół

stajania już uszła, kiedy on jeszcze w miejscu stał i nogę rozcierał.

A wtem się biegiem wróciła i na szyję mu padła.

— To mnie miłujesz, Jantochna?

Chciał coś rzec, ale mu usta gorące do ust przycisnęła i przez chwilę na piersi mu zawisała.

Był jakiś jęk w tej pieszczocie, jakiś gwałt śmiertelny.

Antek, rozpromieniony, śmiał się.

— A taki wróciłaś do mnie!...

Oderwała się od niego przemocą.

— To idźże teraz pomaluśku — mówiła — a we drzwi patrz, bo ja tyle, że wpadnę, matce powiem, i zara się wrócę... Jeszcze do tej wierzby nie dojdiesz, jak ja się wrócę, Jantochna!

Biegła już. Ostatnie słowa rozplynęły się w powietrzu mglistem.

*

*

*

Siedział na ławie za stołem Paweł w nowym koczku, w zesuniętej na tył głowy czapce, i pieniądze, wzięte na jarmarku za dwa wółce, liczył. Przy nim siedziała stara Karbowiaczka, w odświętnych sza-

tach, w rzęsistych krezach i paciorkach. Łokcie podparła na stole, brodę na rękach, i na pieniądze liczone patrzyła trochę zapróżsonemi poczęstunkiem u Szymsiowej oczyma.

W kącie, przy kominie, kołysała „Głucha“ dziecko, wyjadając łakomie z garnczka pozostałą od obiadu polewkę.

Wtem drzwi się otwarły cicho i wbiegła Krysta.

Wbiegła, po izbie spojrzała i u łóżka stanęła.

Liczący głośno parobek zająknął się i urwał.

Stara odwróciła głowę.

— Krysta! — odezwała się trochę mętnym głosem. — A ty gdzie tyle czasu była?

Nie odpowiedziała. Usta miała zacięte, twarz zbieła, oczy rozszerzone, jak dwie czarne plamy. Zrzuciła chustkę, zrzuciła fartuch, cisnęła na poduszki szmatkę z pieniędzmi, spojrzała na matkę, na dziecko, szkaplerz z szyi zerwała i drugimi drzwiami wypadła z izby.

— Co to?... Co to się stało? — spytała Karbowiaczka, gdy ją wiatr, z otwartych na przestrzał drzwi, nagle zimnem obwiał.

Parobek wytrzeszczył oczy: pieniądź, który w rękę trzymał, potoczył się z brzękiem po stole.

Krysta biegła. Do rzeki biegła, jak błysk nagły, cichy. Przeleciała ogród, przeleciała łączkę, aż kiedy załśniła przed nią wielka, wezbrana, z głuchym

hukiem tocząca się woda, zmrużyła oczy, stuliła ramiona i, chwyciwszy się oburącz za głowę, bez krzyku skoczyła na głębie.

W tej chwili Antek we drzwi izby wchodził.

BANASIOWA.

.

Niechże i tobie będzie tutaj karta,
Staruszek moja, na kiju oparta,
Coś mnie tak zeszła wśród ciszy i słońca,
Białością swoją cała srebrniejąca,
Jak schodzi czasem z swojego ukrycia
Prosta i mądra w prostocie—myśl życia.

.

Południe było ciche i gorące. Park lyczakowski we Lwowie zdawał się topnieć w powietrzu rozjarzonym, drgającym od nateżonych, promienistych blasków.

W złoto-zielonej sieci, splątanej z cienkich nitek siejącego się wskroś cienistej lipy słońca, wisiał przedemną, nieruchomo prawie i bez brzęku, omdlały rój drobnouchnych muszek; nad niedalekim trawnikiem polatywały białe motyle krótkim, niskim lotem, zapadając głęboko między trawy; żwir błyszczał oślepiająco na krzyżujących się wprost ławki ścieżkach, a silne, zmieszane wonie były w powietrze jakby z kadzielnicy. Wszystko to przyszło nagle po bardzo świeżym i pełnym ros rześnych poranku, gdy słońce, białe prawie, wytoczyło się wysoko, jak kula, uderzając całym żarem w dyszącą i spotniałą ziemię. Park był pusty. Ci, co tu bywają rankiem, już odeszli, ci, co szukają cienia i chłodu, nie przyszli jeszcze. Natężone gorąco zdawało się wzmaczać wśród zupełnej ciszy, a oddalone cykania koników polnych podobne były do lekkiego trzasku niewidzialnych, podsycających żar południa iskier.

Naraz usłyszałam za sobą pośpieszny stukot kija. Obejrzałam się. Ku ławce mojej szła drobnym, pośpiesznym krokiem mała, mocno do ziemi przygięta, staruszka. Biały jej czepiec olśniewająco srebrzył się pod słońce, równie jak biała, skrzyżowana na grubym kaftanie chustka i takież obszerne fartuch. Jedno jej ramię obciążone było koszem, drugie wyciągało się miarowo, stukając niewielkim kijkiem, który nogom za podporę służył, a i oczom pomagał może.

Daleko jeszcze było, kiedy już usłyszałam jej oddech krótki i ciężki. Widocznie spieszyła do ławki, by spocząć i kosz na niej postawić. Wyschłe jej nogi dreptały z wielkiem wysileniem, płacząc się coraz prędzej i krzywe stawiając kroki; głowę miała tak schyloną, że oblicza jej dojrzeć nie mogła. I ona też zapewne nie widziała mnie wcale. Dopiero kiedy cień mój znalazł się tuż przed nią, wstrzymała się nagle, rozprostowała nieco i twarz podniosła ku mnie. Jaka to była sieć zmarszczek! Życie, co przędło nitki tej sieci, musiało być długie, bardzo długie; musiało też nie spoczywać nigdy. Musiało ono rankiem przy ogarku do pracy się brać, a kończyć ją pół ślepo, o pianiu północnych kurów. Musiało na szare wrzeciono swoje wytargać z tej piersi wszystkie włókienka; musiało nie swoją rwać, plątać i znów rwać, i znów plątać, nie wygładzając węzłów, tylko śpiesząc, śpiesząc, śpiesząc...

Stała tak chwilę, jakby w zadziwieniu, mrużąc małe, szaremi oczkami, poczem znów się ruszyła, do ławki podeszła i kosz, do połowy napelniony piernikami, o nią oparłszy, odetchnęła głęboko raz i drugi.

— Gorąco—przemówiłam, aby coś powiedzieć.

— A dał Pan Jezus, dał!—odrzekła, ocierając wyschlą ręką pot z bladej, jak opłatek, twarzy.—Przyparek taki naszedł, co strach!

— Siadziecie może trochę?

— I... co ta siadać, proszę łaski pan! Tak się aby zeprę. Starocie takiej to i sieść i wstać trudno. Zaraz cośi w krzyżu trzeszczy...

— Ileż sobie lat liczycie?

— A cóż ja ta mam je liczyć, proszę łaski pani. Pan Jezus je ta bezemnie liczy... Zawszeć będzie tego z osiemdziesiąt chyba... osiemdziesiąt, abo i więcej. Tak z pamięci to trudno wszystko do kupy złożyć, ale że w naszej parafii ludzie wiedzą... papiery na to są...

— Toście nie tutejsi, matko?

— Cobym zaś, proszę łaski pani, tutejsza miała być? Z Wadowic jestem, z miasteczka. A jakże! Ino że teraz osada się tam zrobiła i insze porządki są. Ale zawsze mnie tam ludzie znają. Banasiowa, ta i Banasiowa, mały, duży o mnie wie, co i jak.

— I takeście do Lwowa przywędrowali?

— A gdzieby ja tam do Lwowa, proszę łaski pan! Abo mnie to Lwów co da, abo i pomoże? To tam młodym dobrze ubiegać po świecie i pod wiatr dmuchać, ale nie na moje lata! Ino, że tu dzieci mam, niby córkę, co za goździarzem we fabryce je... A jakże! To jak mnie ta święta ziemia zaczęła do siebie wołać, takem do nich na śmierć ściągała. Zawszeć to u swoich lżejsze umieranie. Nie daj Bóże ciężkiego konania, to choć słó-

my na izbie rozścielą i tej duszyczce z grzesznego ciała wyjść dospomogą.

— I dobrze wam u dzieci?

— A cóż? Dobrze. Staremu wszędzie dobrze, bo już od złego nie ubiega. Ino, że mi się tak nie wyszykowało, jakem sobie umyśliła.

— I z czemże wam się tak nie wyszykowało?

— Ano, niby z tem umieraniem, proszę łaski pani. Tu na śmierć do dzieci ściągałam, a tu precz żyję, taj żyję. Pecherzynka się, ot, taka widzi, co to dmuchnąć i tyła, a tu takie twarde życie we mnie, co niech ręka boska broni! Ze samego początku, to tam kramu żadnego, chwalić Boga, nie było. Zameldowali mnie pięknie, ładnie; bywało zięć na robotę do fabryki idzie, córka się po stancyi kręci, a ja wedle pieca siadę, pierza sobie, com ta miała zebranego poduszczykę, drę, pacierz mówię i onej ostatniej godziny czekam. Czekam miesiąc, czekam dwa — nic. Aż mnie coś przenika z tego czekania.

Tak przychodzi raz w niedzielę stróż i powiada. A wy, Piotrze, — niby, że to zięciowi Piotr ze chrztu świętego — matce kartę-pobył szykujcie, kiedy u was siedzi. Tak zięć się zastanowił i powiada: A siłaż to tam tego? Tak stróż powiada: A dwa złote przez kwartał. Ano poczęstował go zięć tabaką, poszedł! Jak też poszedł, tak mówię ja Pietrowi: Na co mi, synku, ta karta-pobył, kiedy ja tu na

śmierć ściągnęła, nie na życie? Ino we mnie tchu parzyć, bom strasznie mdła na wewnątrz. Tak córka się odzywa:—Abo i prawda. Co się ta będziesz kosztował, kiedy matce dziś a jutro. A no, tak my się wszyscy na jedno zmówili—i cicho i dobrze. A uderzały na mnie, proszę łaski pani, takie słaboście, takie poty śmiertelne, że to każda kosteczka trzęsła się we mnie, jak ten liść na wietrze, a przed oczami jakby kto sadze sypał, taka czarność szła. A drugi raz, to jak mnie zaczęło w krzyżcie łamać, to żeby tam troiste zorza na niebie stanęły, toby człowiek do nich głowy nie wzmógł dźwignąć. Więc takem sobie na rozum brała, że to ta niedługie już rzeczy ze mną. Ale co ta grzeszny człowiek może wiedzieć. Zeszedł kwartał, zeszedł drugi — nic, precz żyję. Licho co zjem, na ziemi pod piecem się przespię—i żyję. A jakże! Aż mi dziwno. Czy też tam Pan Jezus—myślę ja sobie — nóżką swoją przenajświętszą moją liczbę przestąpił, czy co?... Tak raz wraca zięć z roboty, a tu za nim stróż we drzwi. Bójcie się Boga, Pietrze, powiada, — cóż z tą waszą matką. Na śmierć, mówicie, ściągnęła, a tu już trzeci kwartał żyjąca je i karty-pobyt nie płaci. Już na drugie tyła kary narosnęło. Insze lokatory to tam same za siebie myślały, ale wedle suteryn, to mnie naczelnik przykazał za tem patrzeć. Żeby się tak dowiedział, toby i mnie i wam była bieda. Róbcież jaki porządek z tym interesem abo w tę stronę, abo w tę stronę, bo to już te-

go więcej niż dziesięć złotych będzie. Tak się Piotr zafrasował, czapkę na stół cisnął, i jak stanął na wpośrodku izby, tak stoi i w głowę się drapie. A córka się zara zapaliła na twarzy i powiada: Matka też to, Boże odpuść, nie wiedzieć po jakiemu się wyrachowała! Na umieranie ściągnęła, a tu umieranie—gdzie! Drugi człowiek to i na starość rozumu nie ma. Gdzie tu tera walić dziesięć złotych, a jeszcze nie koniec! Tak Pietr na nią: Cicho, Franka, nie mamroc, nie wiesz jeszcze sama do siebie, na co ci przyjdzie — że to miłosiernego serca, proszę łaski pani, był, muchyby nie zabił. A jakże! Ano rada w radę, dał zięć stróżowi dwadzieścia i trzy grosze, żeby ta jako zachraniał, aby do czasu, aby do czasu, że to niby, co drzwi skrzypną, to śmierci patrzeć. Jak mu też te dwadzieścia i trzy grosze dał, tak mnie ino pod sercem ścisło. Córka się też złością zajęła, garnek cisnęła pod stół, mało się nie rozleciał, ale że już nic nie mówiła. A co to, to niema dziwu! Tera tyle pieniędzy wał, tera wykład taki... I żeby to człowiek za to zjadł, abo wypił, ale tak po próżnicy...

Odetchnęła głęboko i otarła pot kroplisty z czoła.

— Łyżki strawy żałować, to mi nie żalowali, Pan Bógby mnie skarał, gdybym mówiła inaczej. Co prawda, to ta człowiek niewiele ich tem jadłem ukrzywdził. Pochlipał ta parę łyżek, co w misce zostało i już. A co? Takiej ta grochowinie, to i nie pięknie młodych otjadać. Każde lata mają swój po-

rządek. Staremu, to ta zarówno, choć i przymrze głodu, bo i tak się do roboty nie porwie, a młody stanąć musi na każdy czas we swoim obowiązku. Nie skąpili mi ta nigdy, ani zięć, ani córka; ale taka utrata...

Przestała mówić i chwiała głową siwą.

— No i cóż dalej?

— A no co! Przyszła druga zima i nie. Stróżowi się ta podetkło co nie co i cicho. A mnie ino precz jedno w głowie, że mi się tak nie wyszykowało, jak ja sobie myślałam. Ludzkie pomyślenie, głupich pocieszenie... Pókim jeszcze pierza nie zdarła, to co mi się wspomni, to sobie mówię: niech ta! niech im ta choć poduszczyna po mnie ostatnie; ale jakem pierze zdarła...

• Aż tu mnie na zezimek znów po kościach łamać zaczęło, kaszel mi się też przyplątał, dychawica jakas... Franka!- mówię do córki,—już tera będzie koniec, bo i tchnąć za kaszlem nie mogę. A córka: Co ta matce będzie! kaszel nie kaszel, jakby kijem za psem ciskał. Że to ja serce gryzło o to podtykanie stróżowi, proszę łaski pani... Tak, nie wymawiając Panu Jezusowi, zaczęłam ja dwa dni suszyć do Przemienienia Pańskiego. Bo już mnie i wstyd było przed ludźmi. W całych suterynach wiedzieli, że do dzieci umierać ściągła, to co kto pojrzy na mnie, to się dziwuje.. A jakże! Z początku to mi ta zięć nie dał suszyć. Co ta matce po tem, powiada, Pana Bo-

ga kusić! Co ma przyjść, to i tak przyjdzie. Tera, na zezimek, najwięcej starych umiera, to ta i bez suszenia na matkę trafi. Ale że sobie przeperswadować nie dała.

— I pomogło?

— A pomogło! Na trzeci tydzień tom tak zesłabła, że już stancyi zamieść nie mogła, gdzie ani wody przelknąć. Śmierć moja — myślę ja sobie — i zara mi się lżej na sercu zrobiło. Umyłam się pięknie, ładnie, oblokłam czystą koszulę, siadłam na progu, paciorek sobie święty mówię i czekam. A tu takie białe chmurki niebem idą, a tu słońce przyświeca, a wróble świegocą, że to już niby wszystko wiosnę poczuło. Jak na to uderzyły dzwony nad miastem... Tak mówię ja sobie: wieczny odpoczynek racz mi dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mi świeci na wieki wieków amen.. I zaraz mi się same oczy przymknęły, i taka słodkość po sercu mi poszła, jak kiedy się człowiekowi na lekki sen zbierze. Aż tu ktoś idzie, butami stuka. Patrzę ja—stróż idzie. Papier niesie, do policyi woła, do kancelaryi, niby o tę kartę-pobytu... Myślałam, że się ziemia przedemną rozstąpiła. Pietra nie było w domu, córka prała, to ta do niej i nie gadać wtedy wiele, tak weszłam do stancyi, stanęłam i stoję, nie mający się zaradzić kogo.

Żeby Piotr w domu był, toby ta stróża czem

wypiję, jak ten wróbel skubną tę strawę,... powietrza też nie ukrzywdzę, bo ledwie dech złapać mogę, ani słonyszka tego, bo w suterynach siedzę, to tam go i nie ujrzyć nawet... Ja wiem, wielmożny komisarzu, że już mi dawno czas na umieranie! A co zrobić, kiedy takie twarde życie mam w sobie! Niech mi już ta wielmożny pan odpuści! Daruje! A toć ja sama tej śmierci wyglądam a wyglądam, co dnia, co godziny... Jużem ci ja ten pobyt zapłaciła Panu Jezusowi, na chwałę Jego Przenajświętszą. Trzynaścioro dzieci miałam, pochowałam siedmiorgo, jako tych kwiatusków bieluskich, dwóch mi synów w rekruta wzięli, żołnierzyków takich młodziuskich, że to krew z mlekiem... jeden mi chłopak w rzece utonął, jedna córka do miasta uciekła, jeden najmłodszy spalił mi się na strychu śpiący, jako ten wróbel pod strzechą... Toż ta Pan Bóg Przenajświętszy już ze mnie wybrał ten pobyt i rodzeniem i żalością i pracą ciężką i głodem i krwawym płaczem i onemi mogiłkami ze żółtego piasku...

Zamilkła, a po jej wyschłej twarzy leciały wielkie łzy, w jasności słonecznej złote, jedna drugą strącając. Zapadłe wargi drżały niedomówionemi słowy, a stara głowa trzęsła się bezmocnie... Zaprawdę, Bóg wybrał już z tej istoty ludzkiej opłatę za „pobyt“ do ostatniego szeląga.

— I cóż? — spytałam zcicha, gdy się uspokoiła nieco.

— A cóż! Musiałam zapłacić. Pięć papierków, pani moja, jak lodu. A jakże! Jeszcze mi Pietr pół papieru ze swoich dał. Co było na pochów, poszło... Niech im ta Pan Bóg Przenajświętszy nie pamięta. A to i oni, chudziątka niewinni, ino, że takie prawo je... niby przykaz taki...

— I teraz handlujecie?

— Gdzie ja ta, proszę łaski pani, handluję! Przedałam onę poduszczynę, papieru mi za nią dali i złoty przez pięciu groszy, to zara dwa złote poszło na nową kartę-pobyt, niby od kwartału, a z reszty tak oto człowiek grosza dogania, coby aby w te kary znów nie popaść. A co? Jak takie twarde życie we mnie je, to może jeszcze i ten rok płacić będzie trzeba...

Zapatrzyła się przed siebie, podniósłszy wysoko brwi siwe, wypełzłe i chwiała głową na obie strony jakby w wielkiem zadumieniu nad porządkiem świata...

W WINIARSKIM FORCIE.

Ranek był świeży, wiosenny, słoneczny.

W winiarskim forcie, w Poznaniu, piał grubym chrypliwym głosem wielki kałakucki kogut. Piew to był głuchy, jakby ze ściśniętej gardzieli idący, zakończony charczeniem dwóch klójących się z sobą falsetowych tonów, urwanych na jakiejś niesfornej, czkawkę przypominającej nucie.

Sam kogut wszakże wiele o głosie swoim rozumieć musiał, gdyż po każdym zapianiu stawał jak wryty i, wysuwając coraz wyżej z barków grubą, włochatą obrosłą szyję, szybko, jak gdyby w podziwie obracał na wszystkie strony łeb ciężki, nakryty wielkim, aż na oczy spadającym pierzastym szyszakiem.

W zdumieniu swoim zapominał nawet na chwilę o rozgrzebywaniu śmietnika, stojąc tak na jednej

z silnych, aż do ostrogi kępami pierza obrośniętych nóg czarnych, podczas gdy druga, wyciągnięta w tył ze skulonemi pazurami, zbierała się niezgrabnie do postawienia następnego kroku.

Nim go wszakże postawić zdążył, już ze wszystkich przedmieść pobliskich, z Waliszewa, z Nowej-Grobli, ze Środki — rozlegało się jasne, szerokie, donośne pianie zwykłych polskich kurów, to pojedynczo, to razem po dwóch, po trzech, jak tam którego chwyciła myśl dobra. Pomiedzy temi wyrobionemi i w doskonałą muzyczną frazę zaokrąglonemi głosami słychać było piskliwe, zupełnie jeszcze pozbawione szkoły wyrwasy młodych kogutków, które zaraz wszakże zagłuszał jeden lub drugi wyborny solista.

Wielki kałakut słuchał, przechylał na obie strony obciążoną ogromnym czubem i nabrzmiałemi korallami głowę, sinawą błonką zakrywał na jedno ognienie oka okrągłe, rubinowe źrenice, ale się zwyciężonym nie uznawał, i skoro tylko nieco po przedmieściach ucichło, bił po sobie ciężkimi lotami i zanosił się grubem, chrapliwym pianiem.

Natychmiast czyste, metaliczne głosy jego adwersarzy uderzały w powietrze ze zdwojoną siłą. Czuć w nich było rozdrażnienie niezwykle.

Sąsiad z winiarskiego fortu* świeżym był przybyszem; przedmiejskie koguty nie nawykły jeszcze do jego tubalnego głosu. Wiadomo było, iż uważają go wprost za szykanę.

Kałakut niemniej czuł się podrażnionym. Nie umiał nawet zgoła wytłómaczyć sobie, dlaczego właściwie książd Johann Wurst, pan jego, przeniósł się tu z Westfalii, z miasteczka, gdzie wszystkie koguty tak samo basem piał. i gdzie żaden kur nie robił skandalu jakiemiś wykrzykami z za płota.

Było to wprost nie do pojęcia.

I znów się ciężkimi skrzydłami po żebrach tłukł i zanosił przeraźliwym pianiem.

— Szwabska — krew! — zaklął wachmistrz Dzieszuk, czyszcząc odświętny mundur przy otwartem oknie. — Drze się, jakby kto barana rznął. Że też to choć i pianie, to insze katolickie, a insze znów szwabskie...

Wachmistrz Dzieszuk, chłop ogromny, a suchy jak chmielowa tyka, dawno już w wojsku służył, a z żołnierzy Polaków był w forcie najstarszym. Tutaj ostry jego wąs poszroniał, tu mu twarz zwiędła i wyschła, tu się w ptasi dziób zaostrzył nos jego kościsty, tu mu się nieco pochyliły bary, tutaj ociężały nogi.

Ale chociaż tak dawno karabin pruski dźwigał, ze „szwabami“ nigdy jakoś pogodzić się nie mógł.

Dwa też były u niego gatunki ludzi i rzeczy: „Szwabska — krew“ i „Polska — krew.“ Wszystkie nawet wypadki życia swojego do tych dwu kategorii odnosił. Dwa razy był na przykład „szwabska krew“ raniony: w szlezwiskiej i francuskiej wojnie; a raz mu.

ksiądz Cydzik, proboszcz dywizyjny, podarował „polska—krew“ książkę od pacierza ze złoconemi brzegami i pięknym futerałem.

Jeden tylko odolanowski i kuźmiński atak kwietniowy wspominając, mieszał te obie kategorie tak, że sam już nie wiedział, gdzie tam w tej zawierusze była krew polska, a gdzie znowu szwabska, i dopiero kiedy w opowiadaniu do bicia słupów granicznych przez generała Willisena przychodziło — ostygał, prostował się, a rzekłszy suche i długie ramiona, jak męka pańska na rozdrożu, milcząc, stał i gestem pokazywał, że z jednej strony była wówczas „polska“, a z drugiej „szwabska“ krew.

Wąs mu wtedy szroniasty drżał nad niemą wargą, a zresztą żaden z willisenowskich słupów nie był bardziej nieruchomy i więcej milczący.

Co niedziela paradował Dzieszuk ze swoją książką od pacierza na mszy żołnierskiej, którą proboszcz dywizyjny wczesnym rankiem u Fary miewał.

Piękna to rzecz była widzieć, kiedy w długiej, pojezuickiej nawie parami się ustawiała wiara z winiarskiego fortu, mając nad sobą, jak sztandar, krótko strzyżony łeb Dzieszuka, który wzrostem nad wszystkimi górował. Czasami łeb ten, szronem pokryty, zdawał się być tak wysoko, jakby nim Dzieszuk chciał dostać tych gwoździ, któremi przybite były nogi ukrzyżowanego w ołtarzu Chrystusa, i bić o nie czołem.

Patrzyli też w niego młodszy, jakby w tęczę, a niejedno co księdza nie dojrzał i dzwonka nie pojął, ruchami owego łba Dzieszukowego w słuchaniu mszy się rządził.

Stał Dzieszuk, stali wszyscy, jakby w ziemię wrosli; klękał — klękali, niby las podcięty; bił się w piersi — głuchy łomot setek rąk, w kułak złożonych, rozlegał się, jak stłumione uderzenia młotem.

W jednym tylko nie mogli podkomendni naśladować wachmistrza swojego, a mianowicie w tym wspaniałym geście, jakim Dzieszuk książkę swoją z futerała wyciągał, złocone jej karty otwierał, a podniósłszy do wysokości uzbrojonego w okulary potężnego nosa, na całą długość ramion wyciągniętą przed nim trzymał. Tego stanowczo nie mógł naśladować nikt, i na tym punkcie pozostał Dzieszuk nie-dościgłym wzorem.

Niemniej wszakże czuła się wiara dumną z posiadania wachmistrza, który ma tak piękną książkę, a co niedziela ścisł był koło Dzieszuka, bo każdy rad był choć futerał od niej podczas nabożeństwa trzymać.

Nie było komu powierzał go Dzieszuk i nie wpiersz w ręce dał, aż ostrym swoim wzrokiem na wylot kandydata do trzymania przebrawszy, uprzytomnił sobie jego całotygodniowe sprawy. Boże broń „makulę“ jakiej i „zatrząśnienia oczu“, jak mawiał. Uważano też niemal owo trzymanie futerała za niższy

jakby stopień służenia do mszy, a Dzieszukowe czytanie z książki, jakby za celebę.

Umiał wszelako Dzieszuk być wspaniałomyślnym, a kiedy wiara dobrze się sprawiała, to półgłosem modlitwy zwolna czytał, aby je najbliżsi słyszeć mogli. Pomdlały mu nieraz srodze od trzymania książki onej ręce; ale nie wpierw ją składał, aż ksiądz Cydzik, rzuciwszy ornat po mszy, w albie tylko u ołtarza stawał i, obróciwszy na kościół twarz szczupłą, bladą i przezroczystą niemal, znakiem krzyża, szeroko zakreślonym w powietrzu nad pochylonemi głowami żołnierzy, zaczynał naukę niedzielną: „W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego.“

Żegnał się wtedy Dzieszuk, żegnała za Dzieszukiem wiara, a po całej nawie szedł szmer jednostajny, aż uciekł gdzieś u drzwi, u kruchty.

Proste były nauki ks. Cydzika, ale i Dzieszukowi i podkomendnym jego niezwykle trafiały do serca. Cichy, delikatny głos mowcy przejmował serca te na wskrós już dźwiękiem samym: tak, że ledwo ksiądz usta otworzył, już się dawało słyszeć w szeregach powstrzymywane sapanie.

Dzieszuk i w tem przecież karność utrzymać potrafił. Jakże to? To jeden będzie sobie w wąsy dmuchał, a drugi nie będzie słyszał nauki przez niego? Jeszcze co!... Oglądał się tedy marsem, chrząkał, a sapanie wnet cichło po kątach.

Dopiero kiedy wachmistrz dobył czerwonej bawełnianej chustki i nos potężny nią utarł, a westchnął sobie z głębi, wolno było pofolgować wezbranemu sercu.

Wtedy to, jak na komendę, ucierała wiara nosy, a strzeliste westchnienia unosiły się, jak wiatr, aż pod wielki, kryształkami obwieszony, świecznik, którego płomyki też zaczynały migotać i mrugać, jak oczy do płaczu gotowe.

Plakano wszakże przy większych tylko okazjach. Ot, kiedy na ten przykład, Dzieszuk z książki swojej zagrzmiął na mszy pasterskiej: „Bóg się rodzi, moc truchleje“; albo kiedy na wielkopiątkowej pasyi ryknął wielkim głosem: „Jezu Chryste Panie miły, Baranku bardzo cierpliwy!“ — lub kiedy wreszcie, podczas rezurekcyi, jak z moździerza huknął: „Wesoły nam dziś dzień nastał!“ Tę pieśń lubił szczególnie, a w miarę, jak ją śpiewał, głos jego młodził i nabierał słodczy, tak, że przy słowach: „Witajże Jezu najśłodszy, Synaczkę mój najmilszy,“ podobny był gruchaniu gołębia, który, lubo przytwardy już nieco na pieczeń, tokować przecież nie zapominał jeszcze.

Słodycz ta pozostawała mu w głosie i w spojrzeniu na cały ten dzień, który raz na zawsze spędzał u kuma swego, strażnika trzeciej bramy w winiarskim forcie, Wojciecha Kociały, igrając z dziatkami jego i pożywając dar boży, iż to sam, sierota stary, domu

swego i ogniska nie miał, odkąd syn jego jedyny, pod Odolanowem... szwabska krew!...

Nie kończył tego wachmistrz Dzieszuk nigdy; ale się przy tych słowach znów stawał podobny do willisenowskich słupów.

A ot i dziś, wielkiego dnia po Wielkiejnocy i święconego jajka Bóg doczekać dał. Od wczoraj już fort cały pełen był zapachów gorącego ciasta i mięsiwa, które zagłuszała nieco czeremcha kwitnąca bujnie i rozgrzana słońcem kwietniowem.

Dzwony u Fary biją, a biją, jakby pęknąć miały, a Dzieszuk nie śpieszy się jakoś. A czego się śpieszyć?

To nie ksiądz Cydzik będzie dzisiaj mszę żołnierską odprawiał. Złe jakieś szeptki chodziły już oddawna po winiarskim forcie, ba, po mieście całem. Gadali ludzie, że nowy proboszcz przybywał z daleka; gadali, że nawet po polsku nie umie...

Nie umie? Jakżeby to? Po jakimużby się tu z ludźmi dogadał?

Tak sobie rozumował Dzieszuk, ale jakby mu mrówki po sercu lały.

Ksiądz Cydzik od kilku dni nie wychodzi z domu. Powiadają, że chory. Może chory, a może i nie chory. Może to tylko polityka taka. Jak politykować nie ma, kiedy od piątku na cudzych jakby śmieciach siedzi, bo się już nowy probosz sprowadził z be-

tami, z gratami, z kurami, ot i z tym kałakutem przekłętym, a dziś pierwszą mszę żołnierską ma mieć...

— A no, da się to widzieć! Przestał mundur czyścić; wdział go na siebie i ruszył naprzód.

Wchodzi wiara, jak zawsze, dwójkami do Fary, a łeb Dzieszuka wyżej jeszcze niż zwykle nad wszystkimi sterczy.

Na prawo, przed ołtarzem klęczący w ławeczce ksiądz Cydzik, w starej swojej, znoszonej sutannie. Obie ręce złożone na wytartym brewiarzu, na rękach oparte czoło; z boku tylko widać nieco twarz jego zmizerowaną i żółtą, jak wosk.

Zaruszał się wąs szroniasty nad wargą Dzieszuka, ale nic. A tuż zaraz i dzwonek brzęczy u drzwi zakrystyi.

Wszedł nowy proboszcz — wspaniała osoba — i tubalnym głosem zaintonował „Asperges.“ Rozstąpiły się dwójki na obie strony nawy, a celebrant ruszył środkiem, poprzedzony przez wylekłego i płaczącego nogami chłopaka z kubelkiem wody, w ko-
meżce.

— Niema co, wspaniała osoba! Gdzie tam doniego księdzu Cydzikowi! Czarna kędzierzawa głowa, twarz mięsista, rumiana, świecące oczy; ręce białe i tłuste, ruchy zamaszyste. A buty skrzypią, jak u pana komendanta; a z pod kapy widać nową błyszczącą sutannę. Kropidłem macha, jakby kij w rękę trzymał

po ludziach bystro pogląda, jakby ich odrazu prze-
czuć chciał. Jaki taki oczy spuścić musiał.

Zaczęła się msza.

Ksiądz Cydzik nie podnosił głowy.

Zdawało się Dzieszukowi, że przez blade, cien-
kie palce klęczącego przesączyło się na brewiarz jak-
by kropel parę... i nagle go coś przy sercu ścisnęło.
Żeby sobie wybić próżne myśli z głowy, dobył książ-
kę i modlić się z niej zaczął. Ale modlitwa mu nie
szła. Szczególniej to go stropiło, że nowy organista,
który razem z nowym proboszczem nastał, trele ja-
kieś wywodzi, a zwykłych pieśni wcale nie zaczyna.

I msza odprawiała się jakoś dziwnie krótko, węż-
łowato. Nie było w niej tych długich modłów, tych
cichych zachwyceń dawnego proboszcza. Od „Introit“
do „Ewangelii“—jakby z bicia trząsał. Połowy, gdzieś
ćwierci zwykłych modlitw swoich nie zdążył Dzieszuk
odczytać, kiedy już ksiądz „Credo“ śpiewał. Przed
podniesieniem znów oczy od książki oderwać musiał
wachmistrz, bo mu się zdało, że świece ciemniej się
jakoś u ołtarza palą i że chyba połowa pogasła. Ale
nie. Palily się wszystkie. Tylko czemu ten organista
nie zaczyna pieśni?

Ta pieśń doroczna, ta pieśń naśpiewana tak mu
wierciła w głowie, że, padłszy na kolana przy podnie-
sieniu, bił się w piersi jak na „Agnus,“ a za nim wiara
grzmociła się tak samo, aż do ostatniego.

Ksiądz Cydzik klęczał nieporuszony. Zdawało
się, iż to jest figura kamienna, której nadano twarz
ludzką, bardzo bladą.

Po „Podniesieniu“ szronowaty łeb Dzieszuka
obrócił się ku chórowi. Natychmiast wiara uczyniła
toż samo. Na chórze wszakże nie odezwała się pieśń
oczekiwana.

Dzieszuk zupełnie modlić się nie mógł. Trzymał
wprawdzie książkę swoją na wysokości nosa, ale lite-
ry i wiersze migaly mu przed oczyma, jak czarne
punkta i wężyki. Wydłużał i przyciągał ręce, ale to
nie pomagało.

Westchnął nareszcie z uczuciem ulgi, kiedy
ksiądz wysokim tonem zaśpiewał: „*Ite missa est* —
Alleluja!“

Ano, kiedy „Alleluja,“ to już dobrze. Przynaj-
mniej się wie, że to po polsku. Już chrząknął, już
wydał piersi, już nogi dla pewniejszego dobytcia głosu
rozstawił, kiedy nowy proboszcz, zrzuciwszy ornat,
przed ołtarzem, w albie, z sutą u szyi wstęgą żółtą
do nauki stanął i, zakreślając szeroko w powietrzu
nad zebranymi znak krzyża, donośnym odezwał się
głosem:

„*Im Namen des Vaters, des Sohnes, und des heiligen
Geistes.. — Amen!*“

Dzieszuk, który już do czoła rękę był podniósł,
spuścił ją, jak paraliżem tknięty.

— Co to? Co to jest? Co to ma znaczyć?

— *Meine thauern Brüder!*—zaczął ksiądz swoją przemowę.

— Chryste! To naprawdę?... Chryste! Chryste! Chryste!...

Wypadła z głuchym łoskotem książka z rąk Dzieszuka, a ręce te, drżące i kościste ręce podnosiły się zwolna coraz wyżej ku krzyżowi.

Wiara patrzyła w niego, jak w obraz cudowny. A lek Dzieszuka razem z rękoma podnosić się zdawał tuż, tuż do nóg Ukrzyżowanego. Jeszcze chwila, a dostanie on nóg tych rękoma, oplecie je, uściśnie; i włóczyć się będzie u tych stóp przebitych, i nie puści, póki go tu zaraz nie przeżegna po polsku ksiądz Cydzik, póki Mateusz, stary organista, nie zagrzmi: „Wesoły nam dziś dzień nastał.“

Wesoły... Chryste! Chryste! Toż dzień sądu, a nie dzień wesela. Chryste! to takie zmartwychwstanie Twoje? To nie zmartwychwstanie, ale męka! Męka, i krew, i zółć, i przebicie boku włócznią!... Słońce i gwiazdy się zaćmiły, ziemia się wstrzęsła, powstawali z grobu umarli!... Boże, Boże! czemuś mnie opuścił? Boże, Boże! czemuś mnie opuścił?...

I ryknął stary Dzieszuk nagłym płaczem, i padł na kolana i, wpatrzony w Chrystusa ukrzyżowanego, wielkim głosem zaczął śpiewać:

„Któryś za nas cierpiał rany,

Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami.“

A za nim wiara tuż na kolana i w szloch, i w ono błaganie żalosne...

Stropił się nowy proboszcz u ołtarza, pomylił, z drugiego końca zaczął, i znów się pomylił, ale nauki nie przerwał. Chłopaka tylko w komeżce w bok szturchnął, wskazując mu palcem Dzieszuka.

Chłopak podszedł do wachmistrza i trącił go w ramię. Nic. Trącił go tedy powtórnie. Ale Dzieszuk nie czuł tego nawet. Zdawało mu się, że słyszy wbijanie nowych słupów wilisenowskich... Wszakże on je pamięta dobrze. Od Noteci stały, od Krotoszy-na, od Międzychodza, od Kępna, ale nie tu, nie tu, nie tu! Tu nie było ani jednego! On wie, że nie było, on przysiadł gotów!

I rozpostarł ręce i, twarzą na ziemię ległszy, rozkrzyżował się szeroko na kamiennych taflach, jakby broniąc przystępu tym słupom, które się same poruszały i coraz dalej szły, szły...

Ksiądz Cydzik klęczał nieruchomy z pochyloną na ręce twarzą, a jego wątłą postacią wstrząsało wewnętrzne łkanie.

Dawno już się nauka skończyła, a ksiądz Johann Wurst przez zakrystyę na plebanie wracał, kiedy Dzieszuk oderwał swój łeb siwy od kamiennych tafl podłogi, podniósł się, zatoczył i jak pijany ku drzwiom iść zaczął, zapomniawszy, po raz pierwszy, zabrać książkę swoją.

Przy drzwiach trącił go Kociąła.

— Ej, co tam kumie! Dajcie spokój! Czekamy ze święconem jajkiem...

— Kto święcił? — zapytał głuchym głosem Dzieszuk.

— A któżby?... Nowotny...

— Pożywajcie z Panem Jezusem--odparł Dzieszuk i powlókł się na kwaterę.

Tu zrzucił mundur, padł na tapczan, ukrył głowę w ręce, i długo widać było, jak się wstrząsa jego grzbiet kościsty.

Nad wieczorem rozbudził się, zjadł kawał czarnego żołnierskiego chleba i, zapaliwszy fajkę, zaczął chodzić po szczupłej stancyjce.

Chodził długo. Już w forcie winiarskim wszystkie światła zgasły, a jeszcze jego ciężkie kroki rozlegały się wśród cichej nocy.

Niebo tymczasem zaciągnęło się lekkimi chmurkami, a ciepły, rześny deszcz wiosenny uderzył z pluskiem grubych kropli w ziemię.

Zatrzepotał się wtedy na grzędzie olbrzymi kałakut i zapiał na tę zmianę swym grobowym głosem.

Dzieszuk drgnął i nagle stanął. Stał przez chwilę, potem zarzucił stary lejbik, czapkę nacisnął na uszy i wyszedł, przyciszając kroku.

Nazajutrz kucharka księdza Wursta podniosła okrutny lament. Ulubiony kałakut nowego proboszcza leżał wyciągnięty tuż pod żerdzią, która mu za grzę-

dę służyła. Grube jego pierzem obrosłe nogi sterczały skulonemi pazurami wysoko do góry, szyja była skrzyżowana, przy silnym dziobie nieco krwi zaschłej.

Była to zapewne „szwabska krew.“

KSAWERY.

Nie mogę powiedzieć, żeby był idyotą, ale zawsze mniej znacznie miał rozum, niż go ludzie na wsi miewać zwykli.

Co większa, rozum ten był całkiem innego gatunku. Może gorszego, może lepszego, trudno to powiedzieć, to pewna, że nie miał z niego wielkiej pomocy, ni pociechy w życiu.

Umiał naprzykład czytać i to nietylko na elementarzu, ale także na ewangelicze i żywotach świętych, rozumiał pisane, ministranturę z końca w koniec znał tak, że choć o północku, choć z zamkniętymi oczami wiedział, gdzie stoi amen, a gdzie co innego: pieśni wszystkie, od roratowych aż do wielkanocnych, z pamięci potrafił, a jak się do kropidla przyłożył, to taki miał „sztrych“ jakby się na organistę rodził.

Ale nie umiał ani orać, ani siał, ani kosić, ani grabić; nie umiał nawet w garść plunąć i wideł się, albo łopaty jąć, a gdyby mu tak do młocki z cepem stanąć przyszło, możeby i tego nie wiedział, co dzierżak, a co bijak.

Szczególniej też nie miał żadnej składności do koni, a kiedy raz żydowi szkapę zaprzągnął, to chłopaki na ziemię od śmiechu się pokładli, bo się dziesięć razy naszelników chwycił, nim je przypiął, a chomąto jak siodło usadził. Wszelako nie każda robota obcą mu była.

Drew nalupać, kartofli naskrobać, pierze drzeć, prząść na kółku, albo i na wrzecionie umiał tak, jak mało która baba potrafi, a kiedy ze skopkiem pod krową siadł, to tak mu to składnie szło, że nawet dworskie dójki w kącie mogły iść przed nim...

Wszystkiego tego wyuczył się w ciągu trzydziestu paru lat żywota swego, przez który to czas, od kiedy się na nogi podniósł, proboszczowi dobytek pasał, najpierw gęsi — jeszcze za życia ks. kanonika Rzepki, świeć Panie jego duszy, który go sierotą przygarnął, — potem świnię, potem krowy, potem wszystko razem, już za „jegomości“.

Nieraz on, co prawda, prosił, żeby go jegomość do innej roboty dał, ale choć odmowy nie doznał, zawsze się to przecież odkładało, aż do czasu, kiedy do lat dojdzie. Miarkował ci on, że lata już ma, i dawno; ale papieru na to nie było. Siaki taki miał

metrykę, jedni z matki, inni z obojga rodziców a on nie.

Jegomość mówił, że w księgach nie o nim nie stoi, bo się w Krakowie rodził. Po co on się w Krakowie rodził, nigdy jakoś tego pomiarkować nie mógł. Wszyscy inni rodzili się to w Poddębicach, to w Dąbiu, to w Spendoszynie, to w Krępie, to w Niewieszku, a on, patrzajcież, moi ludzie, nigdzie tylko w Krakowie! Jak stanął nieraz na polu, to i godzinę stał i w głowę się drapał i medytował, i nie wymedytować nie mógł. Żniwo szło za żniwem, kopanie za kopaniem, ci co z nim razem gęsi pasali, poženili się, mieli dzieci, gospodarstwa, jeden się już nawet wyrostka dochował, a on lat jak nie miał, tak nie miał.

Latem nosił Ksawery płócienny chałat, który dawniej jegomości w drogach od kurzu służywał, tudzież płucienne szarawary, wysoko pozawijane ponad kostkami nóg bosych, odrapanych i czarnych jak ta święta ziemia. Nosił także i koszulę, ale że jedną tylko miał i sam ją sobie po rowach przepierać musiał, rzadko więc była chędogą.

W zimie przybywała na to stara wełniana chusta, którą się obwiązywał, jako baby czynią, na krzyż przez piersi i za siebie popod pachy, tudzież niebieski, wypłowiały, po proboszczu dodzierany szalik, którym osłaniał głowę i uszy, wiążąc go sobie pod brodą. Czapki nie używał prawie, a jeśli ją kiedy miał, to

w ręku nosił, „bo wszędzie nade światem je niebo i Pan Bóg przenajświętszy“. W najcięższe mrozy okręcał słomą zsiniałe i poranione nogi i wdziewał na to stare koszlawe trzewiki, które mu podarowała „pani gospodyni“, skoro już na nie przyszły ostatnie termina.

Nic bardziej rozrzucającego, jak okoliczności, wśród których otrzymywał kolejno te różne części swojej garderoby. Kiedy, na przykład, dostał chałat, splakał się jak bóbr, tyle mu pięknych rzeczy nagałdał jegomość, jakto ów chałat przez tyle a tyle lat suknię duchowną okrywał, jako powinien i nadal zostać szatą niewinności, jak Pan Bóg najwyższy lilie polne przyodziewa, iż wyglądają wspanialej niż król Salomon w całej swojej ozdobie...

Słuchając, Ksawery od płaczu utulić się nie mógł, ręce i nogi jegomości ucałował, chałat, przeżegnawszy się, oblókł z nabożeństwem i rzemieniem się, iż do jegomościńskiej tuszy daleko mu było, podpasął, poczem wystrugał sobie zakrzywioną u góry berlicę, z kory ją do białości obrał, i tak po rżysku za dobytciem jegomościńcem chodził, oczy do nieba podnosząc, a za dobrodzieja się modląc. Tego tylko żałował, że jegomość „owieczków“ nie trzyma, boby je sobie pięknie po polu pasał, jako ten „Bonus Pastor“ co w zakrystyi wisi, a tak musi nieraz poły za rzemień zakładać i uganiać się za świnią, co w kartofle burmistrzowskie leżą.

Przy otrzymaniu szarawarów znów była przemowa. Jegomość powiadał o ścieżkach pańskich, jako je prostować trzeba, odwunastu pokoleniach wzbudzonych z lędźwi Abrahamowych i o różnych jeszcze rzeczach, których Ksawery, co prawda, nie rozumiał dobrze, ale które go niemniej do głębi wzruszały.

Najpamiętniejszem wszakże było otrzymanie szalika. Jegomość wrócił wtedy z odpustu, wesół był, samowar na stół dawać kazał, a zobaczywszy Ksawerego, zawołał go do siebie, po ramieniu poklepał, herbaty mu szklanę nalał i pyta:

— I cóż, panie Wilewski?

Ksawery usta otworzył i patrzy, do niego czy nie do niego?

A jegomość znówu:

— I cóż, panie Wilewski?

I aż się za boki bierze i śmieje, patrząc na onego nieboraka, co przed nim zafrasowany stoi.

Ksawery szerzej jeszcze usta otworzył i wytrzeszczył oczy.

— A no—myśli sobie—wolno księdzu, jako księdzu.

Aż tu jegomość nagle śmiać się przestał, rękę jak na kazaniu wyciągnął i rzecze:

— Pamiętaj, że pokora niebiosza przebija. Ty sobie u mnie świnie paś, a co szlachcic jesteś, to szlachcic. To swoją drogą, a to swoją drogą. Tylko ja twoją metrykę z Krakowa dobędę...

Ksawery na to w płacz i buch księdzu do nóg, jak długi. Jezu miłosierny! „Metrykę“ będzie miał jako i drudzy...

A ksiądz:

— Jeszcze ty mi nie tak będziesz dziękował, tylko czas przyjdzie. Człowiekiem cię zrobię, albo i zakrystyanem, bo z Onufra kulfon, tylko do lat dojdiesz. A teraz, masz!

Ściągnął ze szyi niebieski włóczkowy szalik, co go od chłódów wieczornych w drogi brał i Ksaweremu go podał.

A gdy ten płacząc stopy mu całował:

— A wiesz ty, błaznie,—rzekł—że święty Marcin połowę płaszcza odkroił i dał ubogiemu? Nie wiesz? Toś kiep! A ja ci powiadam, że kto ubogim daje, to Bogu pożyczka. I to ci powiadam, że większa radość w niebie... Nie, nie to! No, jak tam było tak było, na, masz!

Ksawery nie śmiał szalika wziąć, aż sam jegomość zawiesił go na nim jak stulę i rozrzewniwszy się, za głowę go objął i do piersi przycisnął, iż to z natury litościw był na wszelakie chuderlactwo w swojej parafii.

Ksawery szlochał głośno.

— No, no!—rzekł jegomość.—Bądź cicho, nie płacz! Wszyscyśmy dzieci jednego Ojca, a ty mi szwinie tak paś, żeby w szkodę nie laży.

Długo, bardzo długo wspominał sobie te rozmowę Ksawery, a najbardziej go zastanawiało to, że go ksiądz szlachcicem czynił i z szlachecka jakoś przeważał, kiedy on jako żywo żadnego przezwiska nie miał.

A co i raz to mu się zdawało, że już gdzieś to przezwisko słyszał. Bodaj, czy nie tak wołają na „Panią“. Pani jest wdową, mieszka tuż przy kościele i pilnie Panu Bogu służy. Ona to obdarowała Ksawerego ową starą chustką, która go od zmarznięcia chroni. Ksawery pamięta ją odkiedy „gęsie“ pasał. Tylko że wtedy wyższa była, prostsza, i włosy miała nie takie jak dziś białe. Pani Ksawerego nie lubi, kiedy go spotka na drodze, to się odwraca i idzie w inną stronę. Ale chustkę równo mu dała, niech jej to Bóg najwyższy odplaci!

Tak przeszedł rok, przeszedł drugi rok — i nie. Jegomość jakby nie pamiętał co w ganku mówił, o Krakowie nie wspomni, na niego też inaczej nie woła tylko jak zwykle „gamoniu“ albo jak tam wypadnie. A on tymczasem „metryki“ jak nie miał, tak nie miał.

Aż też kiedy mrozy ścisnęły tak, że dech słupem szedł, puścił się Ksawery w same Trzy Króle i na pocztę w miasteczku do noszenia listów przystał, żeby sobie na kozuch zarobić.

Wtedy to poznałam go jakoś...

Dziwne wrażenie robił ten biegnący przez pola wśród śnieżnej zamieci człowiek, z głową obwiązaną spłótnionym szmatem, z nogami owiniętymi słomą, w przewiązanym chustką chałacie płóciennym, którego poły rozwiewał wiatr mroźny, ukazując wylażące z dziur kolana sine. Z boku wisiała na nim płócienna torba, a cienkie długie ramiona zdawały się go unosić nad ziemią, puszczone w ruch jak skrzydła. Pomimo wielkiego pośpiechu, z jakim wykonywał swoje poselstwa, zatrzymywał się przed każdym krzyżem, klękał na śniegu lub na grudzie gołej, a wąskie zbielełe jego wargi poruszały się szeptem modlitw i pacierzy.

Do nas ściągął zwykle na noc, wiedział, że dostanie kolacyę i kąt do spania w stajni lub w oborze. Gdy przyszedł, czeladź, siedząc przy misie, wybuchała śmiechem i drwinkami.

— A cóż to „Sawery“ tak pocichu zajechał, żeśmy nie słyszeli? Kiepskiego foczpana Sawery ma, co nawet ognia z pakul dać nie umie. Żeby my byli wieźlieli, toby my byli choć turowej pieczeni narządźili, prawda, Maryśka? A tak barszcz ino i kartofle, jeszcze z nich kucharka wszystkie skwarki wyjadła...

A inni:

— Cóż tam Sawery ustrzelił ze swego kija, co tak torba sterczy?

— Cichojsza, nie gadajta, bo Sawery pieniądze niesie, co będzie Biernacice kupali...

A on tymczasem jak u proga stanął i „pochwalony“ rzekł, tak tylko dyszał od onego biegu i ciepłe powietrze ustami chwycił. Uśmiechał się wszelako kiwając głową i powtarzając:

— Aha! Aha!... Chwała Bogu!—iż to był zwykły jego przystęp do rozmowy.

Potem dopiero zaczynał drzeć całem swoim nędznem ciałem i przysuwał się do komina nieśmiało, kurcząc swoje długie, słomą owinięte nogi, kiedy mu zaś Maryśka w zgrabiałe i trzęsące się ręce nasypała gorących kartofli, przyciskał je do piersi i długo tak trzymał dla rozgrzania się, a łyżki z barszczem do gęby donieść nie mógł, tak dygotał cały.

Gdy mówił, zająkiwał się i uśmiechał, pokazując żółte, rzadko osadzone zęby. Zająkiwanie owo pochodziło ztąd, że nie nawykł był z ludźmi gadać, tylko ze sobą, ot zwyczajnie, w polu, za bydlętem. Czego się zaś uśmiechał, wie to chyba sam Pan Jezus z nieba, bo niedola to była ciężka i żywot bez wszelakiej rozkoszy.

Choć to i ten uśmiech jego też był osobliwy...

Pokaże, bywało, wielkie żółte zęby, a twarz cała jakoby struchlała, po czole jakby kto broną przejechał, takie bruzdy na niem, a w oczach tak mętno, jako w tych dołkach, co po deszczu na drodze stoją!

W połowie coś lutego dola jego poprawiła się nieco, obsiadł bowiem pustą izbę na czworaku i pilnował chłopskich dzieci. Była to jakby ochronka zi-

mowa, gdzie się schodziło ze dwadzieścioro mniejszego i większego drobiazgu. Jedne darły pierze, drugie skubały szarpie, a Ksawery opowiadał im bajki, śpiewał pieśni, ciekawszym pokazywał na elementarzu. Byli tacy, których tej pierwszej zaraz zimy na B a s, B ą k—jak mówił—„wypromował“.

A gdy zapachniała wiosna i pierwsze się trawy puściły, a uczniów i uczennic ubywać zaczęło, wdziawał Ksawery swój chałat, podpasywał się rzemień, zawijał szarawary, torbę przez plecy przewieszał i z listami biegał.

Pamiętam jeden taki wieczór, kiedy się wybrał od nas z zimowej sadyby. Był to wielki piątek. Wielkanoc przypadła wczesna, ciepły wiatr pociągał z południa, czajki były się nad błotami za kowalowym ługiem, od lasu słyszać było pohukiwanie bąka. Wieczorem, kiedy gorące przygotowania do święconego ochłodziły nieco, wyszłam na drogę w pole. Cisza była wielka, szeroka, zorze zachodnie gasły, a na wschodzie podnosiła się pełnia wiosenna, złota zrazu i ogromna, potem coraz srebrzystsza i mniejsza.

Zdaleka, z gościńca, dolatywał turkot bryczek i klekotanie wózków chłopskich, toczących się do miasteczka „na groby“. Kiedy turkot dobiegał do Murowańca, wypadały psy karczmarskie, oszczekując je zajadle i znów wszystko cichło, wiatrak nawet stał nieruchomy na piaszczystym wzgórzu. Tylko modre wiosenne żuki, lecące z wielkim zapędem w ostatni

skraj zachodniej łuny, przecinały, furcząc, powietrze, w którym tu i ówdzie majaczyły lekkie, z świeżo zoranej ziemi idące opary, zbijając się w tuman nad łąką. Wtedy zobaczyłam spieszenie, naprzelaj przez pastewnik idącego człowieka, który pod krzyżem przydrożnym klęknął, ziemię ucałował i, podniósłszy obie ręce, modlić się zaczął. Podeszedłszy bliżej, zobaczyłam, że jest to Ksawery, już przybrany w swoje letnie „ornaty“, jak je nazywał, z torbą przez plecy i z ową zakrzywioną berlicą tuż obok leżącą. Bose jego pięty sterczały za nim w smudze miesięcznej jasności, podobne do tych stygmatyzowanych stóp, które widzimy w ołtarzach, rozwiany chałat szeroko okrył czarną jeszcze ziemię, w tył przechylona, szczeniastym żółtawym włosiem pokryta głowa, z ławała się błyszczeć złotym kręgiem, a szeroka nieruchoma twarz jego była światłem srebrzystem zalana.

Nędzarz ten, ten śmieszny, idyotycznie uśmiechający się do ludzi człowiek wyglądał jak święty w zachwyceniu.

Naraz zaczął śpiewać. Głos mu się trząsł, głowa chwiała, łzy spadały jak iskry po twarzy. Była to owa pieśń stara znana:

...Jezu Chryste Panie miły,
Baranku bardzo cierpliwy...

Śpiew ten miał w sobie coś dziwnie przejmującego. Zdawało się, że to on właśnie, ten bezrodny i bezdomny sierota, który pracą życia całego nietylko do ciepłej szmaty na grzbiecie, ale nawet „do lat” dojść nie mógł, a przecież nigdy się nie skarżył, że to on sam jest: barankiem bardzo cierpliwym...

Następnej zimy Ksawery nie przyszedł obsiąść swojej izby w czworaku. Z listami nie przychodził także. Zaniepokoiło nas to zrazu, mówiliśmy o nim, aż potem wyszedł wszystkim z myśli i z pamięci.

Dopiero na samo podwiośnie, grzejąc się na młodem słońcu przed domem, zobaczyłam jak szedł od miasteczka. Gdyby nie to, że idąc przez pole głowę miał odkrytą, a czapkę w ręku, nie byłabym go nigdy poznała, tak był zewnętrznie zmieniony. Przedewszystkiem miał na sobie ciepłe palto, także spodnie, grube wysokie buty, i niebieski fontaż wychodzący z pod kołnierza czystej, dość cienkiej koszuli. Struchlała twarz jego nabrała zdrowszej cery; oczy tylko nie straciły tego wyrazu przerażenia i marwoty, jaki im był właściwy.

Dziwiłam się w duchu tej zmianie, kiedy Ksawery, przystąpiwszy do ławki, przemówił „pochwalony” i pocałował moją suknię, jak to miał we zwyczaj.

— Aha... Aha... Chwała Bogu... — odezwał się, patrząc na mnie z tym samym co dawniej idyotyczno-

bolesnym uśmiechem, rozszerzającym usta jego od ucha do ucha.

— A! Ksawery! — rzekłam, okazując mu przyjemne zdziwienie.

— Ksawery Wilewski... — odpowiedział, kiwając się śmiesznie przedemną, co miało zapewne ukłon szlachecki oznaczać. — Aha, Wilewski, aha...

I, zbliżywszy się do mojej twarzy:

— Chwała Bogu — szeptał. — Matkę mi Pan Jezus dał...

— Co? Jak?

— Aha... Aha... Ta pani, pani Wilewska, szlachcianka, obywatelka... Ale że była wtedy wdową, aha, i dlatego się w Krakowie rodziłem.. Chwała Bogu...

Złożył ręce i oczy wzniosł do nieba, dziękując za swoje urodzenie, jakby za dar najwyższy.

— I jakże się Ksawery dowiedział?

— Aha... Zachorowała, na śmierć zachorowała... wołają mnie do niej. A już ją jegomość spowiadał. Tak idę, — chwała Bogu — a ona: Synu, Ksawery, daruj! Tak ja patrzę, nie wiem co robić... Tak ja w płacz. Tak mnie jegomość w kark, a ja jej do nóg. Tak znów jegomość rękę jej bierze i na głowie mojej kładzie. A taka letka była ta ręka, jak piórko, a tak mi zaciężyła na głowie, jak olów... A pani tylko dyszy, aż w piersiach jej gra, a bledziuchna taka jak ten opłatek, a gromnica co ją jegomość trzymał,

tylko chwir, chwir na obie strony, że się tak już dusza do wyjścia tłukła...

Przestał i westchnął głęboko tem westchnieniem, z jakim lud o rzeczach nadziemskich zwykł mówić.

— Tak jegomość: Pani Wilewska! Bóg widzi, wieczność czeka... Tak pani na to.. niby matka...

— Otwórzcie drzwi, zawołajcie ludzi.

A już zachrzypiała.

Tak jegomość drzwi roztworzył i mówi:

-- *Dignum et iustum est...* Co w ministranturze tak samo stoi... Jak drzwi roztworzył, tak się zaraz naród zaczął walić, nawaliło się narodu pełna stancya...

Tak pani się na poduszki kazała podnieść i mówi:

— Przebaczcie mi, chrześcijańskie dusze, krzywdę tego oto syna mojego, Ksawerego, którego w boleściach zrodziłam. Co wyznaję tu przed wami, bo się dusza moja sądu boskiego lęka. A to wam wyznaję po spowiedzi świętej, w godzinę śmierci mojej i błogosławię tego syna mego i wszystko co mam, jemu zostawuję. A niech mi to przebaczy Pan Bóg miłosierny, że m temu sierocie poniewierać się dała w ciężkiej nędzy przez cały wiek jego i przez wszystkie lata jego, amen.

Przestał Ksawery i przez chwilę pacierz szeptał, poczem tak mówił:

— Tak zaraz między narodem płacz buchnął, poklekali wszyscy, a jegomość do nich:

— Przyjmuję to zeznanie pani Wilewskiej w przytomności umysłu jej uczynione, a was wszystkich tu obecnych za świadków przed Bogiem i ludźmi biorę.

I zaraz na matkę, niby na panią Wilewską, oleje święte kładł, a naród odmawiał litanie za konających. Tak po tych olejach świętych matka zasnęła. Jak zasnęła, tak jegomość ludziom kazał precz wyjść, tylko organuścinę przy matce zostawił, a sam do mnie:

— A co? Nie mówiłem, żeś szlachcic? Matkę masz, a po ojca, to już sam Pan Bóg przenajświętszy osobno posłać musi dobrego pacholka, bo ulgnął gdzieś w śniegach podobno.

A potem spojrział na mnie i mówi:

— I cóż tak stoisz, jak Piotrowin?

Bom stał, jak byłem, bosi, obtargany...

— Idź—mówi—i wykąp się—mówi—wymyj, wyczesz, żebyś matki w jej ostatnią godzinę nie straszyl. Tak poszedłem. Jakem wrócił tak już i „palito“ i spodnie i krawat w pierwszej stancyi leżały na łóżku, co mi je wedle ściany uszykowali i buty tam były, i kamizelka, i czapka, i koszula... Takem się zaraz w to wszystko obłókl...

— A matka—przerwałam—umarła?

— Aha! Aha! Nie umarła, chwała Bogu, nie umarła! Zaraz jej się po onych olejach świętych i po onem spaniu poprawiło, i przy dobrym rozumie z nami rozmawiała, rozmawiając gdzie, co i jak, co sprzedać, co zostawić, jaki pochów sprawić, w jaką suknię ją oblec... Przywtarzała jej organiścina, ale co ja, to nie wiele z tego miarkowałem, tylko jej u nóg leżał w onem „palicie“ i w butach, i z czapką, i myślałem, że mi serce na dwoje pęknie od żalości...

Odwrócił głowę i pięścią wytarł oczy.

— A żalność to była taka słodka, właśnie jakby mi kto serce rozkroił i miodem smarował. Co spojrzę na panią, to sobie myślę: matka! A dusza ze mnie rwie się, jak ten ptak do gniazda...

Potem przyszła noc i pani spała. Zrana była jakoś rzeźwiejsza, organiścina kawy nagotowała...

— I dawno się to stało?

— A już będzie z pięć dni temu. Takem się spieszył, żeby tu przylecieć, opowiedzieć...

— I cóż Ksawery teraz robi?

— A nic. Przy matce, niby przy pani, siedzę, posługuję. Dźwigać ją trzeba, przenosić... Ale mi to wszystko miło. Jeszcze przez te pięć dni ani razu głodu nie miał, z zimna nie drżał... — dodał z cichym, wewnętrznym śmiechem rozradowania, i wsparłszy twarz na dłoni, stał tak kiwając głową

z wielkiego nad dolą swoją dziwu, zapatrzony w runiejące pola z bolesnym swoim uśmiechem.

Może na polach tych upatrywał śladu bosych stóp swoich, odmrożonych i krwawiących po śniegu...

.

Przeszło lato. Nad ziemią przeciągały korowody jaskółek i mgły jesienne, klucze bocianów i deszczowe chmury, dzikie gęsi i wiatry, otrząsające z liści wszelkie drzewo żywe.

O Ksawerym oddawna mowy u nas nie było. Nie potrzebował tego, miał matkę. Aż, któregoś ranka, wśród mgły i szarugi listopadowej, zobaczyłam go jak sadił przez pole wielkimi krokami. Ale nie był to już ten Ksawery, który posiadał ciepłe „palito“, sukienne spodnie, wysokie buty, czystą koszulę i niebieski fontaż. Był to ów dawny, tak dobrze znany mi nędzarz, w porozrywany płóciennym chałacie, z obwiązaną starym szalikiem głową, z nagiemi kolanami, w wytartej, skrzyżowanej na piersiach, a związanej na plecach chuście, utykający na poobwijanych słomą nogach. Rzuciło się coś we mnie na ten widok, i jak stałam u okna, tak pobiegłam do kołowrota.

Zobaczył mnie zdaleka i zaraz też uśmiechać się zaczął po swojemu, wpół boleśnie, a wpół idyotycznie.

— Bój się Boga, Ksawery!—zawołałam—co się z tobą stało?

— Aha... aha...—odkrzyknął mi wskroś wiatru, który, pochwycawszy głos jego, rozciągnął te dwa wyrazy w dziwny jakiś jęk.—Aha... z listami chodzę, proszę łaski pani...

— Jaktło!... A matka?—zapytałam, gdyśmy się bliżej zeszli.

— Aha... matka.. A jakże!... Ale że przy ludziach nie pięknie było... Nie można... Wdową wtedy była... Przez to się i rodzić musiałem w Krakowie...

Uśmiechnął się i, patrząc osłupiałym wzrokiem w czarną, rozmiękną ziemię, zaczął kiwać głową.

Czułam się dziwnie wzburzoną.

— I cóż? Zapała się ciebie?

— A nie! Boże uchowaj! Zaprzec się nie zaparła... Boże uchowaj! Tylko, że jak ozdrowiała, niech jej ta Bóg miłosierny da najdłuższe lata! to jakoś było nie pięknie...

Pochylił się i usta z boku ręką zastawił.

— Rozniosło się po całym miasteczku... Pani aptekarzowa przychodzić nie chciała, pani poczmistrzowa też... Przykro było... A i na ulicy ludzie patrzą... szepczą... wstyd... A wszystko przezemnie, że to wdowa; wtedy była...—dodał przyciszonym głosem.

Deszcz ustał, wiatr przeciągał ze świstem po polu—szliśmy zwolna ku domowi.

— Tak mówi do mnie pani: Ksawery!—Tak ja

na to: Co, matko! — Tak pani: — Nie wołaj na mnie matko, tylko wołaj: ciotko. Piękniej będzie przy ludziach...—A i sługa była w domu. Tak jak mówię: dobrze.—A już mi się zara krwią serce zalało.. A no nic. Mówię ja ciotko, tydzień, mówię dwa, a co powiem, to jakby kto we mnie nóż utknął. Aż przyszła precesyja. Jak przyszła, tak burmistrzowa nie chciała matki za baldachim w pobok siebie puścić.

Jak tam było, nie mogę wiedzieć, bom chorągiew przed jegomością niósł, ale, że się podobno głośno przemówiły. Jak się też przemówiły, tak matka z płaczem do domu. Wchodzę ja do stancyi, twarz rękami zakrywa i odwraca się odemnie do okna. Zара pomiarowałam, że cości źle. Jakem się też po pierwszej stancyi zaczął tłuc, tom się tłukł jak błędny, miejsca ani godziny znaleźć sobie nie mogąc, a takem się, niby w sercu sam ze sobą bił, że aż trojakię poty na mnie wyszły... Jużem i jadła nie tknął, choć kielbasa była... Oj, ciężko było... W książkach stoi, co w godzinę skonań wielkie na człowieka nastają ciężkości, ale się taka chyba nie najduje...

Zamilkł i przez długą chwilę kiwał nędzną głową, a oczy stroskane utkwiał daleko gdzieś, w pędzonej wiatrem chmurze.

Westchnął potem i rzekł:

— Tak nie długo czekający na nieszpór dzwonią. A no nic. Przedzwonili, idzie matka do kościoła. Jak też poszła, takem zara te wszystkie ubie-

ry, com je od matki miał, ze siebie zewlókł, a swoje ornaty, com je we węzelku na strychu chował, na się pokładłem, pacierz przed matczynem łóżkiem zmówiłem, podłogę w stancyi ucałowałem, kij wziąłem i puściłem się precz, w drogę... Niech tam!—myślę sobie. — Będzie piękniej przed ludźmi... Że to niby, proszę łaski pani, dodał szeptem, matka wdowa wtedy była...

NA RYNKU.

Wjeżdżaliśmy właśnie w rynek miasteczka, kiedy przepędzano wielkie stado wołów.

W grubym тумanie kurzawy, jaka się podniosła z wyschłego w lipcowych skwarach błota, szara bezkształtna masa zdrożonych zwierząt posuwała się ciężkim znojnym ruchem. Kurzawę tę, nieunoszoną najlżejszym tchem wiatru, przebijały tu i owdzie tęgie, proste rogi, to znów wyniósł się ponad nią potężny, siwo-czarny grzbiet prącego się naprzód zwierzęcia, to rozdarł ją krótki, bezdźwięczny poryk, z suchej gardzieli dobyty.

A wtedy pędzący stado pastuch uderzał długim, świszczącym biczem w tę zwartą, ruchomą masę; ale wnet opadło mu ramię, a kłątwa, krzykiem zaczęta, kończyła się ochrypłym szeptem. Człowiek był wi-

docznie skwarem dnia znużony. Po ceglastej jego twarzy pot ściekał obficie, bosc, kurzem pokryte, aż do kolan obnażone nogi, nabrzmiące były i grubą siecią nabiegłych żył zbrudzone, spencer, na jednym ramieniu wiszący odślaniał mokrą na plecach koszulę. Idąc, głośno dyszał i biczyskiem się podpierał. Jedną z nóg, przewiazaną płóciennym szmatem, powłóczył z sobą z trudnością. Gruba jego niedobielona koszula i samodziałowy spencer nie odcinały się od objętego kurzawą stada żadnym obcym tonem. Śmiertelne znużenie, zarówno jak chmura pyłu zdawały się jednoczyć tę szarą masę bydła z tym, który je pędził. Za pastuchem pies bury, kudłaty, do wilka podobny, włókł się z wywieszonym ozorem, podebrawszy ogon pod siebie. Nie szczekał. Tylko kiedy nad stadem bicz świsnął, wydawał krótki chrypliwy skowyt, nie podnosząc pyska od ziemi. Był to widok jakby umyślnie dobrany, aby wzmódz przygnębiające wrażenie skwarne go południa. Oko omdlewało po prostu, patrząc na tę karawanę.

Zatrzymaliśmy się, aby ją mimo siebie przepuścić. Ale za ledwie konie stanęły, uderzyło na nas gorąco, jak z pieca, a gęsty, niezmiernie mialki pył objął nas i osypał. Stado mijalo nas zwolna. Gęsty tupot racic, to wzmagal się, w jednym punkcie podnosząc nową zbitą chmurę piasku, to znów słabnął, powściągnięty biczem i krzykiem pastucha. Wielkie, prawie białe słońce tkwiło na samym zenicie. Jak

okiem zajrzeć ani jednej chmurki, ani jednego najulotniejszego obłoczka. Nagle, wskrós zżęcego oczy pyłu, zdawało mi się, że tuż przed racicami wołów, w samym środku rynku, dostrzegam drobną postać ludzką, przy ziemi skuloną. Krzyknęłam, ale głos mój zginął zapewne w głuchym tupocie pędzonego stada gdyż drobna postać pozostała całkiem nieruchomą. W najwyższym niepokoju patrzyłam w zbitą masę szerokich i siwych grzbietów, poruszających się ciężko i leniwie. Każdy łeb, ku ziemi spuszczone, zdawał się godzić w tę bezbronną ludzką istotę; każda podniesiona racica zdawała się w nią uderzać. Byłam pewna, że kiedy się ta masa przewali, ujrzę jakiś widok okropny, jakieś członki porozrywane, jakieś stratowane i drgające ciało. Serce truchlało we mnie.

Tymczasem woły kroczyły równo, zwolna. Nie znać było, aby się zatrzymywały, lub omijały jaką przeszkodę. Kiedy się nareszcie wparło to wszystko w wąską szyję bocznej uliczki, a kurzawa opadła nieco, ujrzałam znów też samą drobną postać na tem samem miejscu, tak samo jak wpierw przy ziemi skuloną. Wtedy podbiegłam z największem zdziwieniem i zobaczyłam siedzącą w kuczki na rozpalonym bruku młodą jeszcze kobietę, której plecy oparte były o złamane i porzucone tutaj półwozie, a głowa wzniesiona wprost w słońce. Z głowy tej opadła na kark ciężka, gruba chustka, odsłaniając ciemne, gładko przycze-

sane włosy, czoło bardzo żółte, na skroniach silnie zakłęsłe i twarz wychudłą, znędziałą, spaloną na skwarach jak węgiel; z poza wąskich, spieczonych i poczerniałych warg błyszczwały olśniewająco białe, rzadkie zęby, a oczy, ocienione długą, mocno odwinęłą rzęsą, patrzyły z osłupieniem w samo jądro słońca. Prawdopodobnie patrzyły w nie tak samo i wtedy, kiedy ją ogarnęło owo stado wołów. Szeroko otwarte, nieruchome siwe źrenice zdawały się same topnieć jak srebro w ogniu tego słońca. Siedziała tak w pełnem świetle, objąwszy splecionymi rękami podniesione ku piersiom kolana, w baranim kozuchu, długich butach i grubej wełnianej spódnicy. Patrzyłam na nią z najwyższem zdziwieniem. Odzież ta i na mróz trzaskający wystarczyćby mogła. Głębiej nieco, pod półwoziem leżał pies rozciągnięty i zapadłemi bokami ziający; lecz widać wytrzymać nie mógł tego skwaru, gdyż podniósł się, przeciągnął i powłókł na lewą połąć rynku, gdzie widać było cały szereg żydowskich kramnic, których drzwi, na głucho zaparte, przypominały, że to dzień szabasu. Kramnicom tym dodawały nieco zachrony starożytne, wsparte na drewnianych słupach podcienia, przez których przeczocza, z gruba cięte w poczerniałych okapach, siały się złagodzone blaski. Gorąco jednak było tutaj tak wielkie, że roztopione żywice wystąpiły wzdłuż smolnych słupów i belek.

Pies też, który szukał ochłody, powęszył tylko

i, zawróciwszy, pobiegł w przeciwną stronę rynku, gdzie nowsze budowania mieszczan garnęły się do murowanego ratusza. Odbite od białych tynków słońce oslepiało tu niemal, a rozgrzane powietrze migotało na tej bieli tak silnie, że oczy zachodziły łzami. Ani drzewiny, ani kamienia nawet, któryby rzucał choć najmniejszy cień na rozpalone bruki. Pies przebiegł wzdłuż tej polaci, daremnie legowiska szukając i, pod półwoziem powróciwszy, rzucił się o ziemię z głośnem stęknieniem.

Przez cały ten czas siedząca na ziemi kobieta nie poruszyła się, nie zwróciła głowy. Całą twarzą w ten biały blask podana, z dziką jakąś natarczywością patrzyła w słońce szeroko otwartą źrenicą.

Przystąpiłam bardzo blisko; ale zdawała się nie widzieć mnie wcale; przemówiłam, — nie odpowiedziała. Poruszyłam ją tedy za ramię. Wstrząsła się i spojrziała na mnie mętным wzrokiem.

— Co wy? — zapytałam — febrę macie; czy co, że na takim słońcu siedzicie?

Nie nie odrzekła i znów oczy zwróciło na słońce.

Po chwili usta jej się poruszyły półgłośnym szeptem:

— A to ziąb!... Takiego ziąbu najstarsi ludzie nie pamiętają... Takiego ziąbu to choćby na skraj świata zaszedł i na lodową górę choćby zaszedł... to też nie najdzie. Jezu miłosierny, zmiłuj się nad nami! Ino się świat skrzy... a ta para to ci się w czary

obraca, nim od ciebie odleci... Ol... Jaki to huk okrutny w boru! Antek! A słyszysz? To te sośnie tak pękają od wielkiego mrozu... Hu! Hu! Hu!... Ino ten wichur po golaźniach hula... Ino te wilki po łozinach wyją... Hu! Hu! Hu!...

Odjęła ręce od kolan, zaczęła je rozcierać i jedną o drugą bić.

Patrzyłam na nią z najżywszem zajęciem. Po chwili znów mówić zaczęła:

— A plunże w garść, Antek, a chwyć się żywo siekiery... Jak żyd siągi ustawi, to i o trzy mile zarobku nie uświadczysz, a tu chleba trza dla tego dzieciszczka.

— Magosię frybra trzęsie... Ostawiłbyś jej ociec nowy kozuch, abo co... toć się i tak przy robocie zagrzejesz... Hu!... zimno!... Hu!...

Ścisnęła ramiona i zaczęła szczekać zębami. Naraz puściła z rąk kolana, jakby się podnieść chciała.

— Wstawaj, Antek, — przemówiła zmienionym, ostrym głosem. — Wstawaj! Nie ligaj w boru, bo cię tam mróz na nic przewieźmie... Wstawaj, Antek! A dyć ci przez to stare kozuszysko ino ten wiatr furkocze. O czczym duchu chłopisko... Dalej! wstawaj!...

Porwała się na nogi.

— O la Boga! — krzyknęła — O la Boga reta. A kładźcież go wedle komina... Lekusko... Le-

kusko... A dyć go trzymajta!... Jezu Marya!... Ani w nim duchu!

Załamala ręce nad głową.

— Bodajże ciebie, sosno, piorun spalił, zanim mój Antek pod tobą się układał... A bodaj ciebie próchno stoczyło... A bodajś wisielca na wietrze kołysała... A bodaj ciebie, ty, śnieżyco, w piekle topił!... A bodaj ciebie święta ziemia nie przyjęła!... A bodaj ciebie ty, mrozie, Jezus miłosierny utłumił. A bodajżeś ty sam się, jak gadzina użadlił!... A cóż ja tera z tem dzieciszczkiem pocznę?... A gdzież ja się z niem obrócę?...

Załamala ręce i zaczęła żałośnie szlochać. Ale to była jedna krótka chwila.

— A dajno głównię, Magoś! — rzekła posępnie — trza tatusia zagrzezać... Tu, na izbie ognia zrobić trza, tu na słomię... A dajże drugą... Czego krzyczysz, głupia?... To ty nie wiesz, że jak mróz na świecie je, to trza w chałupie palić... A grzeje się, nieboże, kiej ci powiadam... A pójdzże bliżej! A patrz ino jak to tatusiowi ciepło, aż na nim sukmana gore...

Zamilkła i przez chwilę patrzyła przed siebie. Wtem porwała się za głowę, ręce wszczepiła we włosy.

— Gore! Gore!... — wrzasnęła nieludzkim głosem. — Ratujta!... kto w Boga wierzy, ratujta! Magoś! Magoś!

Padła twarzą na ziemię i nagle zamilkła. Można

było myśleć, że jej serce pękło. Pies z pod półwozia zawył i rzucił się do niej.

Schyliłam się przerażona, chciałam ją podnieść. W tej chwili przechodził woźny z magistratu, a widząc leżącą, ścisnął ramionami i rzekł:

— At, co tam pani będzie się fatygowała nad taką fiksatką... Tać ona trzy lata temu własną chałupę spaliła i dziecko w niej, że to jej chłop w boru umarznął na śmierć... No, i jak amen w pacierzu poszłaby do chwestunku, tylko że ma rozum głupi.

Puknął się w czoło i ramionami wzruszył.

— Gdzie to na taki upał w kozuszysko się ubrać i na słońcu grzać... A i psisko też zfixsowane być musi, bo insze toby dawno w świat poszło za lepszą strawą...

LALKI MOICH DZIECI.

Lalki moich dzieci dzieliły się na dwa wielkie obozy: Framużaków i Szkatulaków.

Pierwsi dlatego tak się nazywali, że miejscem ich zamieszkania była framuga w stołowym pokoju, a raczej szafka w murze, na której górnych półkach stały półmiski i talerze; drudzy zaś dlatego, że zamieszkiwali dużą szkatułę, pod piecem w pokoju szkolnym stojącą, niegdyś porucznikowski neser podróżny p. Wawrzyńca, ojczystego dziada moich dzieci, gdy ten pod generałem Romarino służył.

Fabrykacją lalek trudnili się przeważnie chłopcy. Dziewczyny nie umiały ani takiego twardego łba z waty i gałganków uwinąć, ani tak wytrzymałego korpusu uformować, ani rąk i nóg, też z waty skreconych i obszytych płótnem, umocnić tak silnie we właściwym miejscu. Ztąd też zapewne pochodziły te

linie surowe, prostokątne, ta wzgarda dla wdzięku i miękkości kształtów, jaką się odznaczały te lalki, a także i to, że daleko więcej tak pomiędzy Framużakami jak i Szkatulakami było mężczyzn niżli kobiet. Z początku oba te obozy żyły razem na dolnej półce framugi, ale kiedy ich coraz więcej przybywać zaczęło, część przeniosła się do szkatuły, skutkiem czego z czasem nastąpiło rozdwojenie, ba, nieprzyjaźń jawna.

Przedewszystkiem Szkatulaki zniewieścieli zupełnie. Wnętrze starego nesesera, wybite czerwonym, spłótniałym aksamitem i podzielone na różne przegródki, dawało pole do tworzenia coraz to nowych wymagań i zbytków. Tam, gdzie niegdyś stała wielka cukiernica, zrobiono salę balową; na miejscu czajnika był stołowy pokój z kurytarzem; po herbatnicy zajął plac sam wódz Szkatulaków, a po ustrojach, do likierów i rumów przeznaczonych, mieściły się budnary dam. Reszta towarzystwa zajmowała drugą kondygnację, która, jakkolwiek umieszczona pod pierwszą, w rodzaju dna podwójnego, niemniej nosiła ślady demoralizującego aksamitu. Framużaki tymczasem rośli w siłę i prawdziwie męskie prowadzili życie, śpiąc na gołej desce, i ledwo damom udzielając osobnego, w pudełku od cygar, schronienia.

Powierzchnownością swoją różnili się także wybitnie jedni od drugich. Framużaki chodzili w suknie, z którego Tadzio szył im spodnie, kurtki i gunie

na słotę, Wódz ich, ks. Józef Poniatowski, nosił frak mundurowy, przepasany szarfą z wspaniałym węzłem, tak, jak generała Ney'a rysują. Chlubą Framużaków były sztywne gorsy, wyrabiane z kart odwróconych na różową lub niebieską stronę, a uzbrojenie ich składało się z karabinów, robionych ze smolnego łuczywa dla pospolitaków, tudzież ze szpad, przygotowywanych z obsadek do pior i z ołówków dla starszyny. Całkiem poślednia służba uzbrojenia nie miała, a także nosiła kurtki bez rękawów, ponieważ rękawy najczęściej do uszycia przedstawiały trudności.

Szkatulaki używali różnych tkanin i materyi. Gemejny wprawdzie ubierali się ciemno, ale oficerów można było widzieć w kitajkach, muślinach, tiulach różnej barwy. Gorsów też, które Framużakom za puklerze w walce służyły, nie nosili wcale, tylko fontazie na szyi wiązane. Wodzem Szkatulaków był książę Manio. Nędza to była fizyczna, wyjątkowa nawet w tym obozie. Łebek małeńki, chwiejący się na obie strony, korpus wątły, nogi cienkie i ogromnie wydłużone, ręce ledwo się trzymające ramion. Ks. Manio nosił bareżowe, czarne spodnie, oszyte u dołu frendzlą i koronkowy lub jedwabny fraczek. Był tak słaby, że prawie nikt go nigdy nie widział stojącym, i najczęściej się po buduarach damskich rozlegał. Faktycznym też przywódcą Szkatulaków był Bohdarenko, srogi, dziki, gruby i, jak mówiono — nadzwyczaj silny. Ten ubierał się z wschodnim przepy-

chem. Najjaskrawsze kawałki materji szły na jego szerokie hajdawery, a nogi miał już raz na zawsze umalowane na żółto, co przedstawiało buty.

I Framużaki mieli swoich popularnych bohaterów, a najslawniejszymi z nich byli Czarniecki, Kościuszko i Chodkiewicz. Współczesność tych mężów z sobą, a także z Poniatowskim, nie raziła nikogo.

Damy Framużaków i Szkatulaków niewiele się pomiędzy sobą różniły. Ale o pierwszych było wogóle daleko mniej mowy, podczas gdy drugie ciągle występowały na pierwszy plan w Szkatule. Największą zdaje się przyczyną tego był salon; zwłaszcza też od kiedy Staś fortepian do niego z kory wykroił, na dwóch patyczkach go obsadził i klawisze ze skrawków papieru ponalepiał. Raz wraz wtedy balowano u Szkatulaków, a pojełynki, kochania, śluby—ciągle były w robocie.

Najgorzej wszakże działo się wówczas, kiedy przychodziło do bitwy. Damy Szkatulaków krzyczały, spazmowały, biegły za oficerami, niekiedy nawet całą kupą towarzyszyły księciu Maniowi, ciągnięmu na plac boju w pudełku wysłanem wata. Sprawiało to ogromne zamieszanie i wielu nieporządków bywało przyczyną.

Damy z Framugi zapewne nie były lepsze. Ale to niezawodna, że umiano sobie jakoś lepiej z nimi radzić. Był tam bowiem już z urzędu postanowiony „Juliusz, który bawi damy“, i jak tylko zrobił się ja-

ki alarm albo nastawała publiczna trwoga, a damy zaczynały swoje „ach“ i „och“, natychmiast wysyłano do nich Juliusza, który aż do przywrócenia spokoju siedział z niemi w pudełku od cygar, uspakajając je, bawiąc i ratując w mdłościach. Juliusz był to piękny, wysoki, nadzwyczaj składowy młodzieniec, przedmiot skrytej zawiści księcia Mania, który już raz nawet na niego z zasadzki przez opryszków godził.

Kiedy czasy były spokojne, tak Szkatulaki jak i Framużaki bawili się albo polowaniem w wielkim krzu bżowym przed kuchnią rosnącym, albo wyprawami do Brazylii albo też manewrami floty.

Polowanie bywało nie byle jakie. Przede wszystkim w najciaśniejszych przesmykach między zawiłemi gałęzmi i korzeniami krzu, zarosłego na głucho zielskiem wszelakiem, ustawiały się oba obozy, poczem chłopcy wyciągali z sieni borsuczą skórę, wlekli ją w kierz, rozpierali na kijach, i tak stawała się niedźwiedziem w mateczniku siedzącym. Teraz dopiero zaczynał się piekielny hałas. Tadzio trąbił pobudkę myśliwską na wyłamanej szyi z starego liwara, dziewczyny napędzały zwierza naganką, a stara, ślepa ogarzyca, Wolta, zerwawszy się z swego legowiska, obskakiwała krzak dokoła z takim uładaniem, jak w najtęższej kniei. Wtedy rozlegały się zabójcze strzały z wyrobionych przez Pawła, porządkowego, rusznic, a niedźwiedź, lubo się twardo trzy-

mał, przecież padał w końcu, na uciechę starej Wolty, która rzucała się na niego z jasnym, radosnym, z lat młodszych przypomnianiem graniem.

Choć polowanie zazwyczaj kończyło się tryumfem myśliwych, zawsze przecie ten i ów oberwał na niem coś z reszty, a i to się zdarzało, że Miśka na dobre jakiego Framużaka albo Szkatulaka spletał. Wtedy niesiono umarłego na marach pod kapliczkę w rogu ogrodu stojącą, a kapelan obozowy odprawiał uroczyste egzekwie. Każdy bowiem obóz miał swojego. Kapelan Szkatulaków, młody wikaryusz, słynął z wymowy, a na kazania jego nawet damy z Framugi chodziły; Framużaków zaś „Kordecki“ z żołnierskiego animuszu był głośny. Nabożeństwo jego kończyło się krótko. Stawał pod kapliczką, w białej komży, z wyciągniętą ręką, w którą mu kropidło włożono, podczas gdy Staś, za organistę służący, śpiewał.

I na tem się kończyła cała ceremonia. Krótko a dobitnie, prawdziwie po żołniersku.

Kapelan Framużaków był wielkim myśliwcem, ale i ksiądz wikary nie lubił za piecem siedzieć—owszem, w różnych imprezach brał udział. Pewnego razu tak go nawet poturbowano, że mu cały nowy korpus dorabiać było potrzeba. I wtedy to zrodziła się w Szkatule kwestya (dziewięć na dziesięć daje, że pierwsze podniosły ją „damy“), czy kreowany w ten sposób nowy obywatel żenić się może, czy nie może?...

Pamiętam, było to przy rannej kawie, spóźnio-

nej nieco z powodu gości z miasta, kiedy zjawiała się przedemną delegacya z powyższem pytaniem. Zaczęliśmy je tedy roztrząsać z rozmaitych punktów, ale zdania były tak podzielone, że jednomyślności w żaden sposób osiągnąć nie było można. Wreszcie, po długiej naradzie, większością głosów rozstrzygnięto, że ponieważ w głowie to właśnie mieściła się świadomość poprzedniego stanu, a głowa pozostała, przeto nawet po dorobieniu innego do niej korpusu ksiądz wikary, jako nowy obywatel, żenić się nie może. Gdyby jednak stary korpus się znalazł i mógł zostać odrestaurowany, a nową do niego przyprowadzono głowę, to i owszem, niech bierze wdowę albo pannę.

Ścisłe rzeczy biorąc, niewielka była pomiędzy niemi różnica. O ile bowiem mężczyźni tak u Framużaków jak i u Szkatulaków mieli swoją indywidualność, swoje imię, stanowisko a nieraz i wybitną charakterystykę, o tyle kobiety zawsze uważane i traktowane były zbiorowo. Mówiło się o nich „damy“—i tyle. A i to jeszcze zauważyć trzeba, że wszystkie chodziły w rannych godzinach na pensyę, „do pani Rajmer,“ i z tego stadyum pensyonarek nie wychodziły wtedy nawet, kiedy zostawały mężatkami. Pensyonat pani Rajmer znajdował się na pastewniku pod stogiem lucerny, a damy dosyć daleko przenoszone do niego być musiały. Jaki tam był kurs nauk, nigdy tego jakoś dociec nie mogłam, ale to

wiem, że głównie uczyły się po francusku i że najbardziej zaawansowane umiały już mówić: „*bon jour monsieur*” oraz: „*merci monsieur*”. Z tego „*monsieur*” widać, że głównie na użytek a raczej na zgubę spokoju oficerów francuzczyzna ta obróconą być miała. Wprawdzie damy z Framugi w czasie odwiedzin u dań ze Szkatuły mówiły bardzo biegle innym jeszcze, jakimś podobno angielskim językiem, ale go nigdy zrozumieć ani wymiarkować nie mogłam, tak wymowa ich była szybką i obfitą. Framużaki wzruszali na to ramionami. Był to naród dość prosty.

Wyprawy do Brazylii także były bardzo zajmujące. Oba obozy sadowiły się wtedy w głębi kuchennych, do góry nogami przewróconych stołków, i wyjeżdżały na kilka godzin z bronią i żywnością. Pociągową się stanowili chłopcy, tuż za wozami biegła, naszczekując, Wolta, a dalej podążały dziewczyny, niosąc różne pionierskie, z wielkim trudem nagromadzone narzędzia, jako to motykę, służącą Maryśce do podbierania kartofli dla czeladzi, siekacz używany do siekania chwastu i buraków dla trzody, pogrzebacz od poprawiania w piecu, a jak się dobrze udało, to i tasak.

Jakiś tam w kuchni robiło się piekło, jaki był gwałt, kiedy najpotrzebniejszych rzeczy pod ręką brakło, tego się opisywać nie podejmuję.

Wyprawa szła przez ogród, przez łąkę, brzezinkę i aż prawie pod kolonią Pietrzycha zatrzymywała się w dolince, której dno stanowił gruby pokład je-

ziornego żwiru, a ściany—znacznie wyniesione i szeroko ciągnące się piaszczyste wzgórza. W dolince, nieraz na samym wierzchu można było znaleźć stare wytarte pieniążki; gliniane, malowane, podłużne paciorki; różne skorupy, zęby i tym podobne skarby, z których powodu właśnie dzieci całej tej miejscowości nazwę Brazylii nadały. Zaraz po przybyciu wyprawy dzielono grunta, sypano kopce i rozpoczynały się poszukiwania. Tak Framużaki jak i Szkatulaki głównie szukali pieniędzy... Wolta tymczasem zapędzała się aż do pietrychowych kaczek, które z wielkim wrzaskiem i szumem zrywały się z Bugajowej kępy, trzepocąc hałaśliwie skrzydłami. Na to wypadały psy od Pietrzycha, dwa wielkie żółte brytany, i zaczynała się zajadła walka, której echa aż pod Grodzisk się niesły.

Naturalnie, że i polowania i wyprawy do Brazylii nie zawsze kończyły się zgodą; owszem, bardzo często dawały powód do groźnych między obozami zatargów. Nie po każdym wszakże zatargu przychodziło zaraz do bitwy. Rozjątrenie rosło wprawdzie, ale się powstrzymywano od jego objawów, aż zebrało się tyle wzajemnej goryczy, że jakiś błahy powód dawał hasło do najtragiczniejszych wydarzeń.

Pewnego razu, właśnie kiedy przewyciężając zadawnioną niechęć, bankiet w Szkatule dla sąsiadów dać miano, z powodu, że któryś z ich gładyków serce damy z Framugi posiadał, zobaczono nad stawem

w ogrodzie kilka żab zabitych. Wnet ktoś z Framużaków odezwał się z przekąsem, że Szkatulaki żaby owe na pieczenie dla gości szykują. Naturalnie! Wszak oni wojsko swoje zgnilemi śledziami żywią, a groch dla niego z osypką mieszają. Co im to szkodzi? Byle książę Manio bażanty jadł...

Zawrzało wśród Szkatulaków po takiej zniewadze. Godzina nie minęła, a ze Szkatuły wywieszono czerwoną chorągiew, co wszędzie i zawsze znaczy wyzwanie do boju. Natychmiast na patyku, w szparę ściany przed Framugą zatkniętym, ukazała się chorągiew czarna. Był to znak, że dzielny naród Framużaków nie tylko bój przyjmuje, ale go chce mieć na śmierć i na życie. Jakoż oba wojska zaczęły się zbierać do kupy...

Można sobie wyobrazić zamieszanie, jakie powstało między damami, które już przygotowały toalety balowe.

— Juliusz! Gdzie Juliusz?—rozległy się wołania. Ale Juliusz był nie do znalezienia.

Okazało się wreszcie, że się poszedł topić z rozpacz, ponieważ dama, którą miał gładysz ze Szkatuły poślubić, była jego bohdanką. Naturalnie, że mu topienie się owo wyperswadowano, a sam książę Poniatowski, przysięgł, jako, póki on żyje na małżeństwo żadnej z dam swoich z nikczemnymi Szkatulakami nie zezwoli, poczem udobruchanego Juliusza wsadzono między mdlejące i spazmujące w pu-

delku od cygar damy, żeby przynajmniej z tej strony był spokój.

W Szkatule za to działo się o wiele gorzej, a od krzyków, jakie tam wyprawiały damy, rada wojenna poprostu traciła głowę.

Nareszcie uciszyło się wszystko około południa, a na pół drogi pomiędzy Szkatulą a Framugą wystąpiło czterech heroldów, po dwóch z każdej strony. Tu dopiero się rozpoczął homeryczny wstęp do walki. Heroldowie ci bowiem byli to najbardziej języczni i najwprawniejsi w przeróżne drażniące zaczepki, przedstawiciele obu obozów. Zarzuty, przycinki, repliki, wymówki posypały się gradem. Przypomniano sobie powody do uraz i sporów od dziada, pradziada. Jeszcze jeden nie skończył, już drugi zaczynał, ale słuszość przyznać każe, iż chociaż argumenty Framużaków zasadniejsze się być zdawały, celniej przecież niemi strzelali i wprawniej obracali językiem Szkatulaki których Staś reprezentował. Co do wojsk obu, te stały w pogotowiu, wybrawszy sobie jaknajkorzystniejsze pozycje na wielkim składanym stole.

Zderzyły się nareszcie obie armie z ogromnym impetem. Bohdarenko, łbem uderzając jak tur, w kolumny nieprzyjaciela, bił wściekle, o reguły wojennej sztuki nie pytał, a Szkatulaków swoich zagrzewał dzikimi okrzyki. Czarniecki i Kościuszko sprawnie uderzali drobnymi, zawczasu przygotowanymi oddzia-

łami, oszczędzając dzielnych swoich ludzi. Zajądlność z jednej strony a męztwo z drugiej były tak silne, że w pierwszej tej bitwie zwycięstwo zostało nierozstrzygniętem, a oba wojska cofnąć się musiały, ponieważ Papierkowski wołał, żeby nakrywać do stołu i nieść wazę, bo mu się pieczeń przypali. Książę Manio w tym ataku nie brał wcale udziału.

Po obiedzie nowem męztwem wezbrały serca wojowników, ale ponieważ sprzątanie talerzy i podanie czarnej kawy zbyt długą groziło zwłoką, przeto teatr walki przeniósł się do ogrodu nad staw, gdzie bitwa morska miała rozstrzygnąć o ostatecznem zwycięstwie.

Tak Framużaki jak i Szkatulaki oddawna utrzymywali tu swoje flotylle. Były to piękne, lekkie, z kory przez chłopców wyrobione statki, zaopatrzone w maszty, żagle, liny i różnokolorowe bandery. Na banderach wypisane były nazwy statków.

Wnet Staś i Tadzio stanęli z łukami po obu stronach stawu, Janek cierpliwie trąbił na sławetnym liwarze, a w obu portach, „u przełazka“ i „gęsiej łączki“, zaczęto się szykować do wsiadania.

Najpierwsza wypłynęła „Dumka“ Framużaków. Dowodził nią książę Józef. Za „Dumką“ wysunął „Mohort“, którym dowodził Czarniecki. Po „Mohorcie“ wypłynęły razem „Sicz“ i „Zazula“, komenderowane przez Kościuszkę i przez Chodkiewicza. Mieli jeszcze Framużaki łódź piątą, „Kanonadę“, ale na

niej puscili się sami młodzi ochotnicy, bez żadnego sławniejszego wodza.

Flota Szkatulaków składa się z siedmiu łodzi; nim jednak połowę ich odwiązali i puscili na wodę, już strzała Tadzia przewróciła najpiękniejszy ich statek „Marylę“. Drugą ofiarą męźnych Framużaków była „Wiosna“, łódź zwinna i zgrabna, zieloną wstążkę u masztu głównego mająca. Z prawej strony, tam gdzie książę Manio w orszaku dam, obłożony poduszkami, siedział, dał się słyszeć okrzyk wściekłości. Był to głos Bohdarenki, który wypływał na trzecim z kolei „Hetmanie“. Teraz dopiero zaczęto Framużaków prażyć. Pierwszy poszedł na dno „Mohort“ a choć Czarniecki ocalony przesiadł się na „Kanonadę“, którą właśnie wiatr do portu poniósł, i chociaż Framużaki ustrzelili „Rybkę“, przecieź nieszczęście uczepiło się ich widocznie. Łuk, z którego strzelał Tadzio, niósł sławnie, za to Staś, ze strony Szkatulaków walczący, krócej mierzył i zadawał szybsze ciosy. Wypływały dopiero „Warszawa“ i „Zemsta“ Szkatulaków, a już „Zuzula“ straciła maszt i żagle. Kiedy po „Zuzuli“ „Sicz“ padła, a Chodkiewicz poległ, podniosły się rozpaczliwe lamenty z brzegu, na którym Juliusz uspakajał damy, a nawet ks. Kordec ki wznosił swoje kropidło.

Godzinę trwała zacięta walka, a zajądlność Szkatulaków była prawie tak wielką, jak ich bezprzykładne szczęście. Polegli męźni wodzowie Framugi,

a flota jej rozbitą została. Jedna tylko „Dumka“, kołysząc się na fali, usiłowała walczyć ze swoim losem.

Księżę Józef, który stał na niej dotąd o maszt oparty i przepasany swą błękitną szarfą, wyglądał tak bohatersko, iż zdawało się, że sam jeden uratuje honor swojej floty.

Ale wtem wiatr wprost na niego poniósł Bohdarenkę, a tuż zaraz padły dwa strzały, jak gromy. Runął maszt „Dumki“, a pod nim padł nieszczęsny książę—i tak się zakończyła owa sławna bitwa zupełną zagładą dzielnych Framużaków. I ta ich bowiem garść, która była na brzegu, dobrowolnie rzuconą została do wody, aby nie żyć w hańbie. Juliusz tylko ocalał i damy. Tegoż samego dnia wszakże wszystkie przeniosły się do Szkatulaków.

Wkrótce potem, nie wiem już dla jakich przyczyn, i ci ostatni zmarnieli jakoś dziwnie. Rozproszyło się to, skapiało i zniewieszczało do szczętu. Miejsiąc nie przeszedł, a w Szkatule, w dawnej balowej sali, dogorywał książę Manio, bez jednej nogi, w swoim koronkowym fraku, a przy nim leżał sztukowany obywatel, któremu korpus i głowa w dwie przeciwne rozłaziły się strony.

W AWINIONIE.

Jak wygląda ten ementarz, na którym Garczyński leży?...

— Jest jak bór.

Jak bór czarny od wielkich, prowansalskich jodeł, które go nakrywają wierzchem swoich kopuł; jak bór głuchy, kiedy te jodły zaszumią, zahuczą nad nim; jak bór podszyty gęstwą traw, krzewia i niskich kamiennych krzyżów.

Leży ten ementarz za południowo-wschodnim murem Awinionu, mało co od wałów miejskich odsunięty w pole, na szerokiej, rozległej płaszczyźnie, której ostatni kraniec olśniewa ku północy srebrzystymi wodami Rodanu.

Kiedy się tam po raz pierwszy znalazłam w podwieczornej porze, cały gwar bujnego życia południowców bił ku murom ementarza zmieszaną, poszarpaną

falą, niosąc pomiędzy groby wrzawę przedmieść i gościńca od „Wielkich ogrodów“ aż do „Carretiére.“

Wśród kłębów białej, wapiennej kurzawy toczą się tam szeroką, sadzoną platanami drogą, ciężkie, szczękające żelaztłem wozy ku Montpellier, ku Antibes, ku Taraskonowi tak gęsto, że huk i turkot prawie nie ustaje. Ryk mułów, krzyki poganiaczy, brzęk uprząży, śmiechy dziewcząt, śpiewki robotników i żołnierzy, brzdąkania gitary, piskliwe głosy kobiet, ciągnących wózki z jarzynami, napęniają całą tę przestrzeń, jaka dzieli cmentarz od bramy Ś-go Łazarza, nieznosną, wprost jarmarczną wrzawą.

Nad wszystkim górują wysokie, ostre, przenikliwe głosy dzieci, które, wzięwszy się za ręce, zataczają wśród pyłów gościńca szalenie wirujące koła, śpiewając aż do zachrypnięcia zwrotkę starej farandoli:

„*Sur le pont
D'Avignon
Tout le monde y passe.*“

Naraz cisza. Kto biegł — staje, kto jechał — usuwa się z drogi, kto krzyczał — milknie i pochyla głowę. Pogrzeb idzie z miasta. Od *Vieux Septier* albo od *Saunerie*, albo Ś-go Krzysztofa. Zkądkolwiek wszakże przychodzi, iść musi przez ulicę *des Douleurs*. Już wkracza na nią. Słychać zdaleka

przyśpieszony tupot wielu nóg obutych w saboty i w kłapiące trepki. To idą penitenci.

Od bramy Ś-go Łazarza wysuwają się dwa szeregi białych i czarnych postaci, niosąc światła i krzyże, z głowami w kapuzach, zamykających twarze płócienną, czarną, albo białą maską, z której oczy tylko błyskają dziwacznie posępnym blaskiem.

Nad nimi chwieją się mary zarzucone kwieciami, za nimi płyną psalmodyczne szmery. Z szeregu do szeregu, z ust zakrytych do ust, podają sobie penitenci ponury recytatyw śmierci:

...*Miserere mei, Domine... Miserere mei...*

Zaledwie wszakże przeszli szerokość gościńca, gwar życia wybucha z nową i niewstrzymaną siłą. Huk wozów głuży pogrzebowe echa; słychać trąbkę i bęben żołnierzy, maszerujących do bliskiego fortu, krzyki mulników, śmiechy kobiet, setnych głosów wrzawę. Dzieci zawzięcie tańczą swoją farandolę.

Rankiem za to bywa na tym cmentarzu cicho i spokojnie. Rankiem, wśród czarności jodeł, świeci nad nimi żywy szafir drobnymi szybami i słońce upada z wysokości, siejąc się złotym pyłem po grobowych płytach. Głosy życia dochodzą i teraz wprawdzie, ale innej, czystszej, godzącej się z temi miejscami natury. Słychać wtedy pogwizdywanie kosów, monotonną śpiewkę starego, wpół-obłąkanego grabarza, który w progu kaplicy krzyżyki z jaworu struże,

słysząc oddalone echo bijących kijanek, któremi nad brzegiem Druencyi, na kamykach stojąc, praczki chusty piorą.

Samotność zupełna prawie.

Nikt z tych, żyjących obecną chwilą, południowców nie rad przypominać ostatniej godziny.

Czasem tylko, na zarosłej trawą ścieżce, spotkasz kobietą postać w ciemnym prowansalskim płaszczu z kapturem, prostą, wyniosłą, szczupłą, cyprysowi żalobnemu podobną. Błyszczą ci wtedy w oczy lśniąca pasma gładko na skroni przeczesanych włosów, szafir fiołkowych niemal żrenic z pod rzęs długich, czarnych.

Ani jedna z tych postaci nie pomija grobowca *De Novesó'u*, w którym leżą prochy rodu, który wydał *Messira Andiberta de Noves*, ojca Petrarkowej Laury.

Staje przed nimi, opuszcza splecione ręce na proste fałdy płaszcza, podnosi fiołkowe oczy i zamyśla się. Jedne tylko Prowansalki tak się zamyślać umieją, i takiemi je Pradier widywać tu musiał.

W takiej to ciszy i w takiej samotności chodzisz pod starym omszonym murem, czytając nawpół zatarte napisy, trącając odłamki płyt i drobnych kamiennych krzyżów.

Tu, ówdzie delikatny profil kobiety zaświeci z płaskorzeźby poźółkłym marmurem; tu, ówdzie urna ze złocistym płomykiem przypomina wieczyste żarze-

nie się ducha, a zresztą groby dosyć zaniedbane. Jest to może właściwością tego bujnego, bogatego życia, że się niewiele o zmarłych troszczy. Co dziewięć lat przekopują całą tę cmentarną rolę pod nowy posiew śmierci. Więc tylko co świeższe mogiły trzymają się w darni i kwieciu; dawne, te z przed lat siedmiu, ośmiu, różdeptane lub dziko zarosłe, zapadają się powoli same, nim je rydel ruszy. Kamienne pomniki, broniące mogiły od zrównania z ziemią, też nieopatrzono: wiele splekanych płyt grobowych bluszcz tylko w całości trzyma. W największej ciszy czasem, ot za przebiegającą jaszczurką, sypie się gruz i tynki. Krzyże i nagrobki niskie, przyziemne, jakby ustępujące miejsca i powietrza tym potężnym jodłom, które i w najcichsze rano nad tym cmentarzem szmer czynią, właśnie jakby kto stare powieści szeptem prawił. Więc kiedy się w te szmery zasluchasz, a stąpiwszy na jeden ze strzaskanych głazów za mur wyjrzysz i zobaczysz Rodan zielono-srebrzysty i mgły modre, które na Sewennach leżą, zadumasz się, jak daleko los poniósł proch i kości tego, który tu, patnikiem z pól swoich zaszedłszy, znalazł w tej ziemi obcą i zimną gospodę.

Ale kiedym na ten cmentarz przyszła raz ostatni, był mistral.

Ogromny szum targanych wichrem jodeł uderzył we mnie już od miejskiej bramy. Drogę — jak wymiótł. Ani ludzi, ani zwierząt, tylko ta skłębio-

na, wirująca masa pobielalego, mętnego powietrza, w której znikły wszelkie linie, kształty i kolory.

Na cmentarzu huk, szum, trzask krzyżów, szczęk blach, łoskot sypiących się gruzów, pęd wirujących liści, wieńców i mogilnych prochów, jęk, wycie, skarga, łkanie, cała burza rozpacz od nieba do ziemi.

Naraz ucicha wszystko. Mistral wypoczywa. A wtedy słyhać prędkie, nierówne, nagłące brzęki sygnaturki na dachu kostnicy.

I znów zrywa się wściekły zamęt szalonej wichury. Z przeraźliwym świstem, z rykiem i ze zgrzytem wpada mistral między krzyże, trzaska je, szamocze, obala, rwie darnie, miecie żwiry i garście trawy, ukazuje błyskawicznie nagość odkrytych z piasku kości. A nad tem huk jodeł, jak gdyby waliła się puszcza.

Taki jest ten cmentarz, na którym Garczyński leży...

CHODZIK.

Czy warto dla ludzi pisać? — powtórzył swoim spokojnym, bezbarwnym nieco głosem moje porywczaje pytanie i strząsał zwolna popiół z cygara, mileząc długą chwilę.

— Ha, no! — rzekł wreszcie. Ja ci tam tego dowodzić nie będę! Zadużo gadano już o tem. Ale ci opowiem fakt jeden, drobny fakt z życia, wiesz... Ot, głupstwo, jedno z drugim, ale ci opowiem. W Genewie wtedy byłem i stałem u Jeża. No, mógłbym ci o tem powiedzieć niejedno, ale co tam! — Machnął ręką, pokiwał głową i westchnął. Po chwili mówił dalej:

— Wiosna była, pamiętam, południe, siedliśmy tylko co do stołu. Naraz wywołują mnie. Ktoś w sieniach czeka, pyta o mnie. Wychodzę, patrzę: chłop. Zwyczajny, najzwyczajniejszy chłop polski:

w kamizeli, w płótniance, szarawary w buty, wezelek na plecach, kapelusz na głowie. Zdjął go, gdy wyszedł, i przemówił: Pochwalony... Grzmotnęło mi coś w piersiach, ale nie. Patrzę, co z tego. A jużemy tam różnych chodzików mieli do sytości. Jeden za drugim, jak procesya szli, a każdy o te drzwi się opierał, każdy goły. Ot, żeby jeszcze wszystkim pomódz można, ale cóż! Myślałem, że i ten... Rękę tedy do kieszeni wsadzam, a mój chłop stoi, patrzy mi w oczy i uśmiecha się, trochę jakby wzruszony, trochę oniesmielony.

— Mnie tu do pana... pokazali...—rzecze.

Nie było to dla mnie żadną niespodzianką. Jak zły grosz, znałem to „pokazywanie“ do cudzej kieszeni.

Dobylem trochę monety; obiad stygnął, chciałem skończyć. Ale chłop usunął rękę.

— I... nie! Nie potrza, panie! Ja ino wedle książki... wedle słownika, coby francuski był...

Spojrzałem bystro.

— Słownik?... Francuski słownik?

— A ino...

— Na cóż to? Dla kogo?

— Niby dla mnie...

Spuścił nagle oczy, twarz mu pociemniała, obrócił kapelusz w rękę i dodał ciszej:

— Bo to ja... proszę łaski pana... po oświatę idę...

Myślałem, żem się przesłyszał.

— Po co?—zapytałem, przystępując bliżej.

— Dyć... po oświatę...

Podniósł na mnie oczy poważne i żywe. Zdało mu się widać dziwnem, żem nie zrozumiał odrazu.

We mnie dziw rósł.

— Jakto po oświatę?—rzekłem—gdzie?

— A na zachód...

— Do szkoły?

— I... ni... Na zachód. Toć ta w książkach stoi opisane, co oświata na zachodzie je... takim się po nią i wybrał.

Zamilkł, jakby zawstydzony czegoś...

Chwyciłem go za rękę i do pokoju wciągnąłem.

Wszedł, przerzekł „pochwalony“, pokłonił się kapeluszem ku ziemi, i na wezwanie, za stołem siadł wprost Jeza. Poszeptałem z gospodarzem, a on tymczasem, łyżką talerz przed sobą przeżegnawszy, jadł. Jedząc, podnosił od czasu do czasu oczy i uśmiechał się do nas, patrząc nam w twarze wdzięcznie i przyjaźnie.

Zaczęła się rozmowa, a nadewszystko pytania. Chłop prawił, wyrażał się jasno, a mówił tym prastarym językiem, który względnie do naszego bezpolnym nazwaćby można, gdyby nie to, że kwieciem polnem pachnie...

Dowiedzieliśmy się tedy, że nasz chodzik nazy-

wa się Józef Strzyboń, że idzie z Wielkopolski, że ze wsi wyszedł po kopaniu, na twardej jesieni, że zimą po drodze tu i owdzie najmował się do robót w domach do posługi, choć tu szwabom i nie honor służyć, że wiosną teraz po ogrodach kopał, i tak sobie coś niecoś uzbierawszy, na zachód idzie. Jakiby to był ten zachód, nie zdawał się jasno pojmować.

O ile sądzić mogłem, wyobrażał on sobie ten „zachód“, jako miejsce błogosławione i światła pełne, do którego po długiej i dalekiej drodze dojść można i wziąć ztamtąd tyle „oświaty“, ile jej kto nabrać zdoła. Coś jakby skarbów z zaklętej jamy... wiesz... w bajkach...

Na to, że, zaszedłszy do Genewy, już jest „na zachodzie“, nie przystawał jakoś i głową kręcił. Jemu „powiadali, co tam je Francya. Ale jemu ta o Francję nie tyła, ino coby prędzej po tę ta oświatę...”

A kiedy to mówił, kiedy zwłaszcza wymawiał ten wyraz „oświata“, ciemniało mu spojrzenie głębokim ogniem, a w głosie miał żarliwe akcenty wynawcy.

Raz i drugi spojrzałem na Jeza. Drgały mu powieki i wąsy, ale oczu od talerza nie podnosił; przeczuwałem w nich łzy, z tych łez, które—nie bołą.

— A co? A co? — rzekł do mnie nagle i bystrem, siwem okiem dopowiadał resztę. Podobny był mi do Symeona, który oglądał zbawienie Pańskie.

Tymczasem wdałem się z chodzikiem w bardziej szczegółową gawędę; pytałem, badałem trochę. Szło mi o przekonanie się, ile też ten chłop polski nabierze oświaty w połę tej swojej płótnianki, kiedy już „na zachód“ zajdzie. Z gawędy tej okazało się, że czytał wiele i wiele rozumie. Znaczenie takich nawet wyrazów, jak: „paleontologia“, „kosmografia“, „astronomia“, „historja“ nie było mu obce. Tłómaczył on te rzeczy na swój sposób, swoim przepysznym językiem, ale zdawał z nich sobie sprawę zupełnie jasno i dokładnie. A lubo znać było, że brak tam wszelkiego porządku w tych nagromadzonych wiadomościach, zdumiony byłem, zkąd mój „Chodzik“ tyle wie i to wie dobrze. Po obiedzie zabrałem go do mego pokoju. Ledwie na progu stanął, puścił z rąk kapelusza i, chwyciwszy się za głowę, zaczął się śmiać w najwyższym rozradowaniu.

— Lo Boga! Lo Boga! — powtarzał. Co tego Co tego!

— Czego? — pytam.

— Dyć książków? Jużem ci ich siła widział, ależem tyła nie widział... Chyba w kramie... Będzie ze sto, panie?...

— Będzie więcej. Ze dwieście może.

— Retal... Co tego!... I same kaznodzieje?

Nie rozumiałem dobrze.

— Jakto? — rzekę.

— Dyć mówię: kaznodzieje. Siła już kaznodzie-

jów czytałem, alebym jeszcze chciał czytać dwóch: jednego Senekę, a drugiego Jadama. Ino, że do nich ciężko.

Słuchałem milcząc, zdumiony, kiedy wtem chodzik zobaczył na niższej półce „Historię o prapradziadku i o praprawnuku” — i roześmiał się głośno z uciechy.

— Tegom też czytał! — rzekł. Tęgi kaznodzieja! Jeż mu rzeką. Tęgo piszel!

— A widziałeś go też? — spytałem podstępnie.

— Cobym go ta widzieć miał. Pomarł dawno.

— Jakto? Siedziałeś dziś przy stole wprost niego.

— Co pan mówią? Ten małuśki, starzeński, w tym szarym kubraku? Taki kaznodzieja w takim kubraku?...

Nie mógł się opamiętać, poruszony był do głębi, do dna duszy prostej... Naraz się rozśmiał.

— A ino! — rzekł wesoło. Nie tędy do pola! Panisko sobie wyprowadza śmiech z chłopca, a chłop nie taki głupi! — To jakże? To taki, co praprawnuka miał, i historię o nim spisał, będzie panu jeszcze podczas żył?... A toćby on ze dwieście roków musiał mieć, żeby do tego dnia po świecie chodził...

Nie dał sobie wyperswadować. Dla niego wszystko co napisane, musiało być też przeżyte, na własne uszy słyszane, na własne oczy widziane. Tak tylko pojmował historyczną prawdę i dokument życia.

— A ino! — dolożył wreszcie. Już mnie panisko nie zmani, ani z tej strony, ani z tej strony. To też choć i ksiądz na wsi, a ornaty po sobie rozpuszcza i w kolorach se różnych chodzi, a takiby w kubraku zaś miał?... A ino!...

Roześmiał się i pokiwał głową, jak człowiek, co się dobrze na żartach rozumie.

Nagle spojrział na stolik. Na stoliku leżał siódmy tomik „Liry”. Wziął ją w rękę, odwrócił kartę i patrzył uważnie, namarszczywszy czoło.

— Znam! — rzekł, Gomulicki! — Też tęgi kaznodzieja!

Teraz zacząłem pojmować szczególne to określenie.

— Wolicie Gomulickiego, niż innych? — spytałem, zadziwiony nieco.

— I... nie to! — odrzekł. — Ale, że cięższy od innych je, więcej poradzi. Inni to się to po dwóch, po trzech na oną „Lirę” składali; różnie, jak się ta kto przepemódz mógł... A ten sam poradził caluśkiej!

Co było mówić? I to argument.

Wyszukałem słownik i dałem mu. Nie pamiętam, żeby mi kto tak dziękował za co. Potokiem rzuciła mu się z piersi wymowa rzewna, gorąca, modlitwa niemal. Powiadam ci, zawstydził mnie, szarpnął mi sercem tak, że aż zęby ścisnął, żeby nie wybuchnąć. Czem, pytasz? A ot, nie wiem. Jakimś załem, jakąś skrucą, nie wiem sam...

Mój chodzik tymczasem do węzélka sięgnął, wyjął z niego niedobieloną koszulę lnianą, grubą, w której miał zawinięty kawał czerstwego chleba, książkę obok chleba umieścił, złożył razem i tobolek do drogi wiązać zaczął.

A kiedy to robił, łzy mu jasne, wielkie, kropliście na oną koszulę zgrzebną padały, a ręce trzymające książkę tak się trzęsły, jakby w nich klucze złote od onych śnionych skarbów miał.

Zaczem raz jeszcze dziękował, do rąk, do kolan się rzucił, na progu: „pochwalony“ przerzekł, i jak stał, tak z miejsca ruszył: „Na zachód, po oświatę...”

Zadumał się mój towarzysz; milczeliśmy obaj.

— Hm! — przerwał milczenie po chwili. Czy warto dla ludu pisać?..

SPIS RZECZY.

+ Krysta	5
+ Banasiowa	55
W winiarskim forcie	71
+ Ksawery	89
Na rynku	111
+ Lalki moich dzieci	121
W Awinionie	137
+ Chodzik	145

W ostatnim kwartale roku 1898, t. j. od 1 października do 31 grudnia, wyszły i rozesłane zostały prenumeratorom „Gazety Polskiej” następujące dzieła jako bezpłatne dodatki tygodniowe:

<i>St. Kozłowski</i> „ Taboryci ”, dramat w pięciu aktach	tom 1
<i>T. T. Jeża</i> „ W Zaraniu ”, powieść.	tomów 3
<i>E. Goncourt’a</i> „ Bracia Zemganno ”	tom 1
<i>T. Padalicy</i> „ Powieści Ukraińskie ”	„ 1
<i>Edm. Rostand’a</i> „ Cyrano de Bergerac ”, komedia bohatera w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego	tomów 2
<i>Ireny Mrozowickiej</i> „ W płytkim prądzie ”	tom 1
<i>Jonasa Lie</i> „ O Zachodzie ”, powieść norweska „	1
<i>Klementyny z Tańskich Hofmanowej</i> „ Krystyna ”	tomów 2
<i>H. Andersen’a</i> „ Bajki i Opowiadania ”	tom 1

Nowi Prenumeratorzy „Gazety Polskiej” przybywający od Nowego Roku 1899 otrzymywać mogą komplet tych 13 tomów za rb. 3 z przesyłką pocztową i za rb. 2,40 w Warszawie.

W roku 1899 wyszły następujące bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“:

<i>Józefa Blizińskiego</i> „ Obrazki “	tom	1
<i>Artura Gruszeckiego</i> „ Szarańcza “ powieść na tle stosunków szlaskich	tomów	3
<i>Juliusza Bretona</i> „ Artysta “ (Savarette) .	tom	1
<i>Jana Lama</i> „ Wielki Świat Capowic “ . . .	tomów	2
„ Głowy do pozłoty “	tomów	4
<i>J. W. Goethe'go</i> „ Reineke-Lis “	tom	1
<i>Stanisława Pileckiego</i> „ Dwa głosy “ . . .	tom	1
<i>Maryi Konopnickiej</i> „ Pod prawem “ powieść	tom	1
<i>Teofila Lenartowicza</i> „ Poezye “	tom	1
<i>Maryi Konopnickiej</i> „ Nowele “	tom	1
<i>Adolfa Dygasńskiego</i> „ W Kielcach “ opo- wiadania i uwagi o czasach szkolnych	tom	1

Nowo przybywający abonenci otrzymują nie zwłocznie wszystkie te dodatki.